

Okladka i opracowanie graficzne
EWA KULESZA
WANDA RODOWICZ-CEDROŃSKA

Zdjęcia
ANDRZEJ DZIEWANOWSKI

Redaktor techniczny
ALINA SZUBERT



Herb Etiopii

WSTĘP

Pierwszy pobyt w Etiopii łączy się dla mnie zawsze z największą przygodą, jaką udało mi się w życiu dotychczas przeżyć – z udziałem w Wyprawie Zoologicznej Uniwersytetu Warszawskiego na jachcie żaglowym „Dar Opola” na Morze Czerwone w latach 1959–1960. Pełniłem tam obowiązki zastępcy kapitana. Wszystko w tej wyprawie działo się po raz pierwszy:

nigdy do tej pory (nie tylko w Polsce) nie łączyło sportu żeglarskiego z konkretnymi zadaniami naukowo-badawczymi; w historii naszego powojennego żeglarstwa żaden jacht przed „Darrem Opola” nie dotarł tak daleko; nigdy później polski jacht nie nawigował po Morzu Czerwonym, jednym z najbardziej zasolonych, najgorętszych i najtrudniejszych żeglarsko ze względu na nie sprzyjające wiatry i krótką, wysoką falę mórz świata. Byliśmy pierwszymi Polakami, którzy nurkowali w tym morzu o najgorszej opinii wśród płetwonurków, całkowicie uzasadnionej ogromną ilością rekinów w nim żyjących. Byliśmy wreszcie pierwszą załogą polskiego jachtu, który zawinął do portów Morza Czerwonego, a wśród nich i do etiopskich.

Wtedy właśnie po raz pierwszy postawiłem stopę na ziemi Cesarstwa Etiopii. Brzmi to – przyznaję – przesadnie, ale postaram się wyjaśnić dlaczego tak utkwiał mi w pamięci moment tego „postawienia stopy”. Po wejściu do portu Assab i zacumowaniu przy liczącym tysiąc lat, a może i więcej, nabrzeżu z rafy koralowej, zeskoczyłem na nie z pokładu jachtu. Zeskoczyłem i zacząłem... tańczyć jak ów niedźwiedź na podgrzewanej blasze, co było niegdyś popisowym numerem wędrownych cygańskich „trup cyrkowych”. Po prostu rafa była straszliwie rozgrzana słońcem. „Oparzyłem” się więc na samym początku zetknięcia z etiopską ziemią, okazało się jednak później, że wynikała z tego równie gorąca miłość. Może jednostronna, bo ze strony Etiopii nieuświadomiana, ale z mojej na pewno tak. I trwa ona do dziś. Jeśli bowiem jest jakieś miejsce na świecie, do którego chciałbym powrócić, a los pozwolił mi być w wielu interesujących miejscach, to jest nim bez wątpienia Etiopia. Po pierwszym „odkryciu”

Etiopii na jachcie „Dar Opola”, byłem tam jeszcze dwukrotnie w odstępach kilkuletnich.

Często pytano mnie, dlaczego w wędrówkach po Etiopii omijałem stolicę tego kraju – Addis Abebę. Czy ja wiem? Dziś trochę tego żałuję, ostatnio dużo historycznych faktów zdarzyło się w tym mieście, ale gdy przebywałem w Etiopii nigdy jakoś mnie tam nie ciągnęło. Nie odczuwałem potrzeby odwiedzania miejsca opisanego na wszystkie możliwe sposoby, nie frapowały mnie ani sławne lwy spacerujące po ogrodach otaczających pałac cesarski, ani stare czy nowo-



Mapa Etiopii z wizerunkiem cesarza Teodora II

czesne domy. Duże miasta bez względu na szerokość geograficzną, na której się znajdują, są po prostu do siebie podobne. Natomiast reszta Etiopii, jej góry, pustynie, przyroda i ludzie tam żyjący – a oni są właśnie zawsze najbardziej interesujący, najważniejsi – to wszystko składa się na unikalną, niepowtarzalną specyfikę tego kraju. Toteż nic dziwnego, że zawsze bardziej pociągała mnie możliwość skręcenia z drogi do szałas koczownika czy glinianej chaty rolnika,

niż na przykład podróż samolotem do Addis Abeby. Z góry może i więcej widać, ale za to jakże mało dokładnie.

Tak się dla mnie szczęśliwie składało, a dokładniej tak w miarę swych możliwości układałem terminy pobytu w Etiopii, aby znaleźć się tam w nieco chłodniejszej porze roku. Lato w górach jest znośne, ale w rejonach pustynnych kraju – nad Morzem Czerwonym w porze letniej Europejczyk znosi upały z najwyższym trudem. Pamiętam na przykład, że w styczniu, a więc w okresie chłódów, gdy jechałem z Assab do Desje termometr w samochodzie wskazywał 50°C i to tylko dlatego tak mało, że się po prostu „skończył”.

W czasie pierwszego pobytu w Etiopii, gdy w kilku uczestników wyprawy udaliśmy się w głąb kraju, patrzyłem na wszystko, co działo się dokoła, jak na bardzo kolorowy i bardzo egzotyczny film z ogromną ilością dziwnie pozbieranych statystów. Na refleksje, na mądrzejsze poznawanie Etiopii, przyszedł czas później. Zarówno w Polsce w trakcie studiowania z trudem wyszukiwanej literatury o tym kraju, jak i w czasie następnych w nim pobytów. Zdaje sobie jednak sprawę z tego, że zarówno ogromne zróżnicowanie geograficzne, jak również wielka ilość języków i dialektów, wierzeń, obyczajów wynikających z wielowiekowych tradycji i motywujących postępowanie współcześnie żyjącego Etiopczyka oraz wiele innych przyczyn powodują, że wiedza o tym kraju jest ciągle powierzchowna. Dlatego też pragnąłbym, aby książeczka, którą przedstawiam Czytelnikowi, stała się zachętą do głębszego zainteresowania się Etiopią, do sięgnięcia po książki i do źródeł informacji pełniejszych, niż opis podróży zwykłego dziennikarza.

I wreszcie uwaga ostatnia, konieczna przed rozpoczęciem czytania następnych stron. W Etiopii po raz ostatni (oby nie w życiu), byłem jeszcze przed obaleniem cesarza. Tak więc wszystkie informacje dotyczące nowego okresu w historii tego państwa, pochodzą z „drugiej ręki”. Staralem się jednak, aby „ręka” ta była obiektywna, czyli z całą starannością wielokrotnie weryfikowałem często sprzeczne ze sobą wiadomości, aby dotrzeć do sedna spraw. Zaczynamy podróż...



Port Assab. Znaczek ten, podobnie jak wszystkie etiopskie znaczki emitowane w czasie despotycznych rządów zdeponowanego w czasie rewolucji cesarza Hajle Sellasje opatrzony jest jego podobizną

PIEŚŃ WOJOWNIKÓW

Od tygodnia siedziałem w tej odgradzonej od świata pustynią i morzem dziurze, czekając na zezwolenie wyjazdu w głąb kraju. Wieczory i noce spędzałem na tarasie hotelu, starego, rozsypującego się budynku, ze szparami wielkości pięści w ścianach. Pulchny Arab – właści-

ciel tego przybytku – nie zgrzeszył skromnością, dając swej ruderze nazwę „Astoria Hotel”.

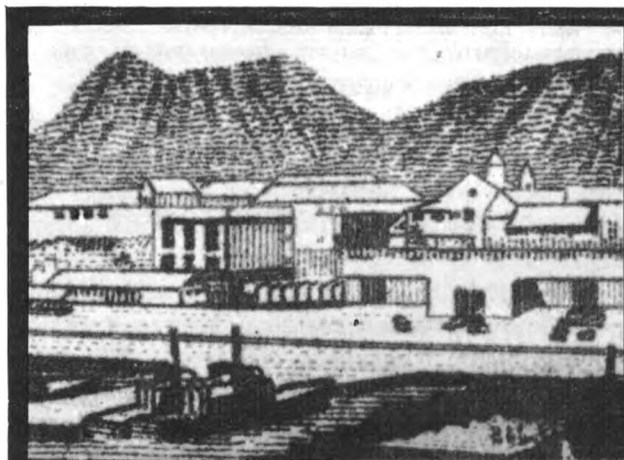
Każdego dnia rano wędrowałem do pałacu namiestnika cesarskiego, przez ulicę pełną kurzem, wznoszonego przez uparcie wiejący monsun. „Pałac” trochę się rozpadał, ale kilku wartowników w spiczastych hełmach tropikalnych, uzbrojonych w ogromne karabiny, podpierało go plecami bez przerwy. Widać skutecznie.

Gubernator czasem mnie nawet przyjmował. Tylko że wciąż nie było jeszcze decyzji z Addis Abeby – stolicy Etiopii. Obydwaj wiedzieliśmy doskonale, że żadnej decyzji nigdy nie będzie, bo po prostu gubernator o nią nikogo nie pytał. To on musiał zadecydować, a nie chciał.

Już przyzwyczailem się do „reprezentacyjnej”, gęstej, słodkiej kawy z korzeniami i pieprzem i do ciągle wracającego motywu naszych rozmów:

– Po co pan tam będzie jeździł? Pustynia, dzikie plemiona, niebezpiecznie. Tu na miejscu jest tylu interesujących ludzi...

Port Assab



To „po co?” wracało ciągle. Tłumaczyłem, wynajdując coraz to nowe argumenty. Na próżno. Czekał na decyzję. I tak walczyliśmy już od tygodnia. Każda nasza rozmowa kończyła się solennym zobowiązaniem – jutro. Ale dobrze wiedziałem, że znaczy to – może, kiedyś...

Już znałem na pamięć każdy dom w Assab. Nie musiałem zresztą specjalnie się wysilać, niewiele tego było. Duży plac z trzema barakami-koszarami policji, wojska i celników, pałac namiestnika, kilka budynków z obowiązkowymi tarasami, „Astoria Hotel” i kilkanaście lepierek zamieszkałych przez robotników portowych. Ulice kończyły się w pustyni. Za miastem, nad morzem, stał nowy, piękny koptyjski kościół. Było w nim chłodno, co często wykorzystywałem, i – pusto.

To było wszystko, całe Assab. Nie licząc nowej rafinerii ropy i osiedla, ale to już było za starym Assab. Był jeszcze upał, nieznośny, paraliżujący skwar. Nawet wiejący monsun nie

Szpital w Assab. Znaczek z serii wydanej w 1962 r. z okazji 10 rocznicy przyłączenia Erytrei do Etiopii



przynosił ochłody, przeciwnie – parzył swym gorącym, zmieszonym z solą morską oddechem. Assab leży na 13° szerokości północnej w Kotlinie Danakilskiej, tu właśnie znajduje się jeden ze świątowych biegunów gorąca; amplituda dobowych wahań temperatury sięga prawie 50°C. Już o godzinie dziewiątej rano człowiek ma kompletnie upieczony mózg i szuka tylko cienia. Życie zaczyna się wieczorem.

Zdecydowanie różnił się od miasta port. Zbudowany przed kilku laty przez radzieckich specjalistów, w miejscu gdzie od stuleci zawiąły żaglowce uprawiające kabotażową żeglugę po Morzu Czerwonym, był całkowicie nowoczesnym obiektem mogącym sprawnie obsługiwać duże statki. Często chodziłem na nabrzeża portowe mając nadzieję, że może akurat zawinie tu polski statek. Samotność doskwierała mi mocno. Pewnego dnia po przejściu bramy portowej, usłyszałem dziwny ni to śpiew, ni zbiorową recytację z jednym, gardłowym i przeraźliwym głosem, wybijającym się ponad – jakby odpowiadający mu – chór. Poszedłem w kierunku, skąd dochodziło to zawodzenie.

Przy nabrzeżu stał przedziwny statek, żywo przypominający archaiczny prototyp parowca. Pod zwisającą, całkowicie spłowiałą banderą, nic już nie mówiącą o przynależności państwowej armatora statku, odczytałem z trudem prawie nieczytelny napis na rufie – „Shebba”. Nazwy portu macierzystego już nawet nie można było się domyślić. Pod odpadającą płatami czarną farbą, czerwieniły się rdzą płyty kadłuba. Wprost nie mogłem uwierzyć, że coś takiego jeszcze pływa – ba, przewozi ładunki.

Na mostku, wyglądającym jak skrzyżowanie kiosku z piwem i ambony, stał gruby, ociekający potem biały. Był to chyba kapitan. Jedyne

Europejczyk na pokładzie tej łajby. Załoga? Mieszanka wszystkich ras. Na zwisającym za burtą sztelingu stało dwóch czarnych marynarzy. Od czasu do czasu leniwie uderzali młotkami w szczególnie zardzewiałe miejsca. Jeden z nich, wysoki, dwumetrowy Somalijczyk, ubrany był w strzępy długich, męskich kalesonów. Jedna nogawka kończyła się gwałtownie, tuż za kolanem, na drugiej widać było zabiegi właściciela nad przystosowaniem tego niezwyklego stroju do wymogów klimatu. Po prostu cała nogawka była wyrwana. Jego kompan o grubych wywiniętych wargach i szerokim spłaszczonym nosie, z krótką, krętą czupryną, czarny jak heban, lekcewał modę europejską. W pasie owinięty był krótką, nie sięgającą kolan, kiedyś białą, szmatą. Na rufie, ukryty przed okiem kapitana, przykucnął nad blaszanką farby chudy, o sterczących żebrach, Arab. Brudny zawój kiwał się w momentach, kiedy głowa właściciela opadała w drzemce. Potężny pędzel, którym wychudły majtek miał pewnie malować pokład, służył mu jako podpórka. Żółtolicy Chińczyk, nie Chińczyk, co kilka minut wylaniał się z budki kambuza na pokładzie i biegł z butelką piwa owiniętą w ociekającą wodą szmatę, na mostek. Grubas pochłaniał jedno piwo za drugim. W chwilach oczekiwania na następne, wrzeszczał zachrypłym tenorkiem na pracujących przy załadunku robotników. Jego okrzyki nie wywierały jednak na nich najmniejszego wrażenia. Prawdopodobnie w ogóle go nie słyszeli. To właśnie ich głosy usłyszałem z daleka. Na statku uwijała się cała gromada półnagich robotników, owiniętych jedynie wokół pasa kawałkami podartej materii. Ciemne, błyszczące od potu grzbiety przychyłyły się pod ciężkimi workami z kawą. Tempo i nasilenie śpiewnej recytacji

wyraźnie wzrastało. Stojący na przyzbie worków chyba brygadzysta, wykrzykiwał chrapliwym głosem jakieś niezrozumiałe słowa. Odpowiadał mu chórem, dźwigający worki tłum. Przymominało to odmawianą zbiorowo w kościołach litanie. Ale sceneria miejsca, dzikość głosów, przechodzących już teraz w krzyk, prędko każały mi zapomnieć o tym porównaniu. Tempu tej melorecytacji odpowiadało tempo pracy. Bose stopy robotników wybijały coraz szybszy rytm na deskach trapu. Ciemne ciała lśniły od spływającego potu. Statkiem owładnął szal. Zniknął port, statek, prysnęła cienka skorupka cywilizacji. Były tylko wykrzywione w grymasie twarze, obłądne oczy i dziki, chrapliwy, o szaleńczym rytmie krzyk. Już dawno przestano spuszczać worki do ładowni po specjalnym ześlizgu, zrzucano je wprost z pokładu w dół. Kapitan, z nie dopitą butelką piwa w ręku, wsparł się o balustradę mostku i półotwartymi ustami wpatrywał się niebieskimi zamglonymi oczkami w widowisko na pokładzie. Słabsi zaczęli chwiać się na nogach, nie nadążając za szaleńczym tempem, narzuconym przez „zapiewajkę” z ładunku. Głosy były coraz bardziej chrapliwe, cichsze. Wreszcie jakiś szczególnie, wysoki, wibrujący krzyk zatrzymał w pół kroku to szaleństwo. Robotnicy zwalili się z nóg, tam gdzie który stał. Na statku zapadła martwa cisza. Teraz dopiero spostrzegłem, że Arab, który przedtem drzemał na rufie, leży ciężko dysząc wśród innych. Poznałem go jedynie po pędzlu, który ciągle trzymał w ręku. Obok wywróconej blaszanki, zastygła kałuża zielonej farby. Szteling wiszący za burtą był pusty... Jedynie żółtolicy kucharz, oparty leniwie o drzwi kambuza, spokojnie kończył pić butelkę piwa.



Górzysty krajobraz Etiopii

Jeszcze ze dwie, trzy takie „litanie” i statek zostanie załadowany. Co kraj, to obyczaj. Gdzie indziej wymyśla się taśmy, przyspiesza ich bieg... A tu, kapitanowi bardziej opłaca się wynająć robotników niż zapłacić za załadunek dźwigiem. Ale byli to też robotnicy niezwykli, nie bardzo znający wartość pieniądza.

Koczownicy z pustyni Danakil walczą do dziś między sobą. Porywają sobie wielbłądy i kobiety, kradną trzody. Walczą o wodę, złoża



soli i walczą, bo cóż to za mężczyzna, który nie zabił przeciwnika. Świadcstwo dojrzałości otrzymuje się w momencie, kiedy padnie wróg. Tak było na pustyni Danakil zawsze, słabszy ginął i to nie tylko w walce. Zwyciężała go pustynia, piaskowa burza, brak wody, choroby, wreszcie głód. Kiedy zbudowano port Assab, ściągnęło tu wielu nomadów całymi rodami. Tu były pieniądze, za które można kupić broń, wielbłądy czy bydło. Miesiąc czy dwa pracy i z powrotem do siebie, w pustynię. Przynieśli do cywilizacji swoje pieśni wojowników, tańce, swoje

zwyczaje. Rozbili pod miastem na skraju pustyni swoje skórzane namioty, przygnali trzody. Czasem gdzieś dalej, za piaskowymi diunami, dochodzi do starcia. To spotykają się dążące do miasta na zarobek dwa wrogie rody. Zwycięzca następnego dnia dźwiga worki z kawą i śpiewa swoją wojenną pieśń.

Trudno w to uwierzyć, że właśnie dumni Danakilowie, władcy pustyni, „poniżyli” się do pracy fizycznej. Widocznie wytłumaczyli sobie, że sterta worków, które trzeba wrzucić do wnętrza żelaznego pudła co pływa, jest ich wrogiem, a zarobione pieniądze – lupem.

Przez pustynię Danakil biegnie asfaltowa szosa, łącząca stolicę kraju Addis Abebę z portem Assab. Koczownicy wędrujący ze swymi stadami nie korzystają z niej, ich drogi są inne. Ale gdy zbliżają się do Assab, nie mają już wyboru. Cywilizacja powoli wkracza na pustynię Danakil, jej pierwszą zapowiedzią była właśnie ta szosa. Za kilkanaście lat dorastający chłopak z plemienia Danakilów może już inaczej będzie zdobywał świadectwo dojrzałości.

*
* *
*

O tym, że w końcu wydostałem się spod opiekuńczych skrzydeł gubernatora i pojechałem w głąb kraju, zdecydował przypadek. Poznałem w porcie kapitana, a zarazem właściciela małego statku „Rodi”, przewożącego ładunki na Morzu Czerwonym. Enrico Befani – niski, kościsty, już dobrze szpakowaty, o ciemnej, spalonej w tropikach twarzy – przypominał bardziej Araba niż Włocha.

Wieczorem siedziałem na tarasie hotelu pod leniwie mielącym powietrze wentylatorem, czekając na kapitana. Nie przyszedł sam. Towa-

rzeczyła mu młoda dziewczyna i jakiś wytwornie a pretensjonalnie ubrany Arab. Arab był agentem handlowym tu w Assab, a dziewczyna – córką kapitana. Letycja – tak brzmiała jej imię, miała najwspanialsze, czarne, ogromne oczy i cudowny uśmiech. Może już tu za długo siedziałem sam i dlatego jej uśmiech wydawał mi się najpiękniejszy na świecie i przeznaczony tylko dla mnie. Rozmowa snuła się leniwie, przerywana przez właściciela hotelu, podającego coraz to nowe oszronione butelki chłodnego piwa.

Nawet nie uchwyciłem momentu, kiedy kapitan zaczął opowiadać. Była to tak nieprawdopodobna opowieść, że do dziś nie wiem, ile w niej prawdy, a ile kapitańskiej fantazji. Los zdarzył, że w kilka miesięcy później znalazłem się w miejscu, gdzie wydarzyła się kapitanowi jego przygoda; pewne fakty potwierdzały prawdopodobność Włocha, było ich jednak zbyt mało, aby nabrać absolutnej pewności.

Befani w czasie ostatniej wojny dowodził jednym ze ścigaczy włoskiej floty, strzegącej

wybrzeży Erytrei. Flota ta miała swą bazę na wyspie Nocra, w zatoce Ghubbet Mus Nefit na archipelagu Dahlak. Archipelag Dahlak to kilkadziesiąt wysp koralowych na Morzu Czerwonym, leżących na 16° szerokości północnej.

Po wojnie kapitan został na Morzu Czerwonym. Kursuje swoim parowcem między Adenem, Assab, Massaua i Dżiddą – przewożąc ładunki, a czasem i pasażerów.

Przed kilku laty jego statek miał awarię i musiał go oddać do remontu w Massaua. Kapitan miał czas, nudził się. Postanowił odświeżyć młodzieńcze wspomnienia i odwiedzić wyspę Nocra. Załadował na szalupę motorową trochę prowiantu, słodką wodę, zabrał jednego marynarza i popłynął. Dzielące Nocrę od Massaua 50 mil przebył w kilkanaście godzin i następnego dnia był już na wyspie. Z budynków bazy zostały już tylko ślady fundamentów na skale, resztę spaliło słońce i rozwiały wiatry. Ocalały jedynie szczątki jednego z baraków, ktoś musiał o to zabiegać. Nad pozbawionymi dachu ruinami powiewała flaga Cesarstwa Etiopii.



Ktoś tu żył, coś się działo na tej pozornie pustej wyspie. I rzeczywiście. W wygrzebanych w skale norach, zbudowanych ze złomów rafy budach – żyli ludzie. Tylko jeden człowiek mieszkał w starym baraku pod flagą – był to policjant. Pozostali mieszkańcy okazali się zesłańcami.

Policjant w starym wyblakłym mundurze, z teatralną lornetką na piersiach, przyjął kapitana nieufnie i wrogo. Kazał mu natychmiast opuścić wyspę. Nie tłumaczył swej decyzji, po prostu mierzył z karabinu.

Argument był mocny, niefortunni podróżnicy wrócili na brzeg, gdzie zostawili szalupę. Łodzi nie było! Na nic zdały się poszukiwania – zniknęła. Sama nie mogła odpłynąć, był przyływ. Ktoś ją ukradł! Było jasne, że zesłańcy ukryli szalupę i przygotowują ucieczkę.

Befani postanowił pertraktować sam. Dwóch starców, widocznie delegatów zesłańców, dało mu do zrozumienia, że na szalupę nie ma co liczyć.

Mają dość. Dość poławiania pereł zabieranych przez policjanta, dość głodu, dość śmierci z wyczerpania, czy w paszczy rekina. Rzadko zdarza się tydzień bez pogrzebu, to znaczy zagrzebania zwłok pod stertą kamieni, tak aby nie mogły ich pożreć sępy. I niech lepiej Italiano odejdzie stąd, tam do policjanta. Nie ma żadnej łodzi!

Policjant czyścił karabin – było widać, że szykuje się do walki. Ucieczka więźniów była równoznaczna z wyrokiem śmierci na niego. Postanowił walczyć o życie. Kapitan po całonocnym rejsie i męczącym denerwującym dniu, chciał wreszcie odpocząć. Jego marynarz – Arab, gdzieś zniknął.

Płaska, jak odwrócony do góry dnem talerz,

wyspa była cicha i martwa. Słyszeć było jedynie bełkot fal, rozbijających się pod nawisami skalistych brzegów. Księżyc, leżący poziomo na firmamencie jak wielka srebrna łódź, rozjaśniał puste morze.

Nagle ciszę przeszył ostry, rozpaczliwy krzyk. Policjant natychmiast wystrzelił w powietrze. Krzyk ucichł, a na płaszczyźnie wyspy ukazał się chwiejny cień człowieka. Biegł zataczając się i jęcząc w stronę Befaniego.

To był Mahmud – marynarz. Za znalezienie szalupy zapłacił raną w piersi od pchnięcia nożem.

Nie było czasu na opatrywanie Mahmuda, bo za stromizną brzegu ukazała się szalupa. Była wypełniona czarnymi sylwetkami. Ciemna masa ciał, ostro odcinająca się od bieli łodzi, kotłowała się i przelewała przez burty.

Toczyła się zaciekle, milcząca walka o życie, czasem tylko błysnął w świetle księżyca nóż i jakieś ni to westchnienie, ni oddech, głośniejszy od sapania walczących, docierał do uszu stojących na brzegu. Przez chwilę pracowały niezdarnie – każde sobie – dwa wiosła, później już tylko jedno. Szalupa pod wpływem gwałtownych szamotań, uderzeń rozsadzających jej wnętrze, kręciła się w kółko, przechylała raz na jedną, to znów na drugą burtę. Głuchy plusk kwitował każde ciało wpadające do wody. Na morzu pojawiły się srebrzyste smugi pędzące jak rakiety w stronę łodzi. Rekiń! Teraz dopiero buchnął w niebo jazgot oszalałych ze strachu ludzi. Szalupa, przechylona gwałtownie na jedną stronę, błysnęła bielą burty i ukazała dno.

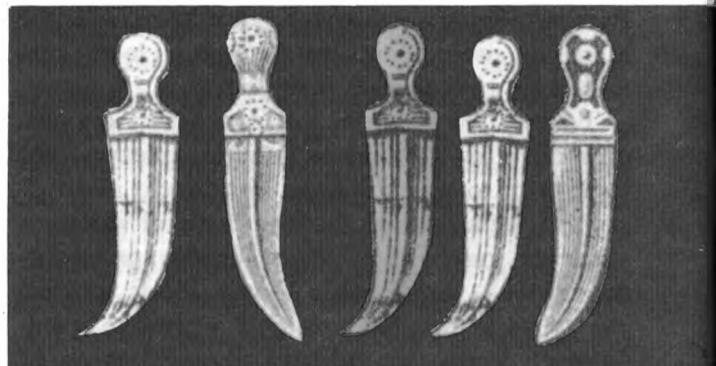
To był koniec ucieczki. Uciekinierzy ruszyli ławą ku brzegowi. Wśród czarnych płam głów i błysków gorączkowo pracujących ramion, uwiły się srebrzyste błyskawice. Rekińy zbierały

żniwo. Wreszcie pierwsi dopadli do brzegu. Tu spotkała ich lufa karabinu policjanta. Oszałeli ze strachu pędzili gdzieś w głąb wyspy, głusi na nawoływanie.

Ta pędząca w milczeniu gromada obdartych, półnagich ludzi, przypominała jakiś niesamowity, potworny w swej grozie taniec cieni. Z morza i przybrzeżnych skał dochodziły coraz cichsze jęki. Szalupa, niesiona przyływem, uderzyła o brzeg.

O świcie kapitan z rannym marynarzem odpłynął do Massaua.

- To już wszystko - zakończył Befani.



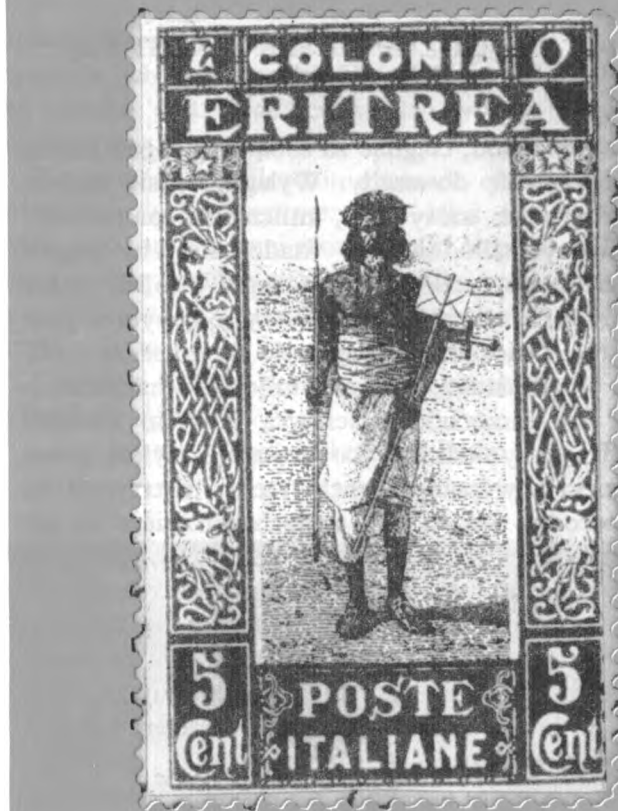
Była czwarta rano, czas na pożegnanie. Arab gdzieś zniknął, odprowadziłem kapitana z córką do portu. Dwa dni później zostałem wezwany do gubernatora, który oświadczył, że poręka kapitana Befani i jego uroczej córki zupełnie mu wystarczy i już nie trzeba decyzji z Addis Abeby. On sam zezwala mi jechać, gdzie tylko chcę. Tylko ostrożnie. Good luck!

Kiedy wpadłem do portu, krępa sylwetka „Rodi” niknęła za latarnią wejściową.

TAM, GDZIE PIASEK UNOSI SIĘ DO NIEBA

Samochód, ciągnąc za sobą długi ogon kurzu, wtoczył się do osady. Wylegujące się leniwie na środku szosy psy, milczkiem pierzchnęły między zabudowania. Stado małych, nagich dzieci porzuciło zabiedzonego osiołka, który z radości ryknął krótko i ruszył z kopyta w pustynię. Dzieciaki podbiegły do skraju szosy i zbite w gromadkę, patrzą w milczeniu na zbliżający się samochód. Kierowca Hussein nacisnął kilka razy klakson, co zostało przyjęte przez dzieci z wyraźnym zachwytem i zatrzymał się pośrodku wsi. Wkoło samochodu zbiera się natychmiast grupka krajowców. Z niepokojem spoglądamy na zwisające przy szerokich pasach, potężne noże. Kilku opiera się na krótkich dzirytach z błyszczącymi metalowymi ostrzami, reszta ma długie, proste pasterskie kije. Ubrani są w białe, o lekko kremowym odcieniu, szaty. Owinięta wokół pasa luźna sztuka materiału, sięgająca do pół łydki, przypomina spódnicę. Na ramiona narzucona biała płachta, sposobem noszenia przypomina rzymską togę. Wrażenie to umacnia pełna godności postawa krajowców. Pociągłe twarze, o suchych, ostrych rysach, to twarze ludzi wolnych i dumnych. Ale jest w tych chudych twarzach, w tych zaczerwienionych od pustynnego piasku i słońca oczach, jakaś skupiona czujność i wrogość. W wąskich, zaciśniętych wargach i głębokich bruzdach rzeźbiących twarz, kryje się okrucieństwo.

Jesteśmy teraz otoczeni kilkudziesięciosobowym tłumem, dzielącym się półgłosem jakimiś uwagami, zapewne na nasz temat. Czujemy się jak zwierzęta w klatce. Każdy nasz ruch, każde słowo, spotyka się z czujnym spojrzeniem i re-



Posłaniec

akcją tłumy. Kiedy przecierając okulary upuszczam je, po ciemnych twarzach przebiega krótki, wzgardliwy uśmiech. Błyskają na moment białe zęby. Dopiero teraz spostrzegam, że jeden z najbliższych stojących ma zęby spiłowane pod ostrym kątem, tak że wyglądają jak kły drapieżnego zwierzęcia. Inny z krajowców, starszy już wiekiem, obwieszony jest talizmanami. Ma ich kilka na szyi, jeden jakimś tylko jemu znanym sposobem przymocowany jest do siwiejącej, krętej czupryny. Są także na przegubach obu



Kawalerzysta

rąk, a kiedy odwraca głowę, mówiąc coś do stojącego obok postawnego młodzieńca, wygląda mu jeszcze jeden talizman zza ucha. No, tego staruszka nic złego nie może spotkać!

Za to my – pasażerowie, dwóch Europejczyków i chłopak z gór narodowości amharskiej – czujemy się nieszczególnie. Nasz kierowca Hussein zniknął już od dobrej chwili, pozostawiając nas samych. Klniemy na niego i mimo że już od dawna znudziła się nam rola eksponatów, nikt nie kwapi się z opuszczeniem samochodu.

Mikrobus otoczony jest ciasnym wieńcem ponuro spoglądających krajowców. Przez otwarte okna wciska się do wnętrza samochodu ostra, cierpka woń. Woń jaką są przesiąknięci ludzie, spędzający gorące dni i chłodne noce pod niebem pustyni strzegąc stad wielbłądów, lub przemierzając karawanami rozległe, bezwodne obszary. Na zapach ten składa się ludzki pot, rozprażony piasek pustyni, wyschnięte w słońcu trawy sawanny, dym płonącej na ognisku akacji, krew zarżniętej kozy, mięso upolowanej gazeli, wielbłądzie mleko – całe ich twarde, prymitywne życie.

Mimo zachowania pozorów spokoju, jesteśmy zaniepokojeni. Widzę to po niepewnych twarzach współpasażerów i widać to zapewne po mnie. Gdyby zaczęli rozmawiać z nami, dopytwać się, gdyby okazali jakąś zwykłą ludzką ciekawość – poczulibyśmy się pewniej. Tak do tej pory zawsze bywało... Europejczyk tu, w Afryce, jest często obiektem ciekawości dzięki swej białej skórze, przynależności do jakiegoś dalekiego, nieznanego narodu i dlatego, że jest po prostu inny, egzotyczny. Ta ciekawość bywa zawsze jednak zdecydowana – życzliwa, albo wroga – ma określony charakter, dzięki któremu wiadomo jak się zachować. Ci ludzie natomiast patrzyli czujnie i badawczo, ale w ich spojrzeniach, może niesłusznie, widziałem też cień pogardy, lekceważenia, czy ja wiem wreszcie czego? Jakby nas sobie oglądali. Tak patrzeć mogą tylko ludzie, zdający sobie sprawę ze swej przewagi.

Z przeciwległego krańca wsi rozległ się niski, chrapliwy okrzyk. Wśród otaczającego nas tłumy powstało jakieś zamieszanie. Ten o spiłowanych zębach zagadał coś prędko i wymachiwaniem rąk zaczął popędzać swych towarzyszy. Odeszli

tak jak przyszli, całą gromadą, nie oglądając się za siebie. Przy samochodzie pozostało jedynie kilku starców i natychmiast z powrotem pojawiły się dzieci.

Odetchnęliśmy z ulgą. Przypuszczam, że nam nie groziło z ich strony, ale poczuliliśmy się dużo swobodniej kiedy odeszli. Teraz dopiero przypomniały mi się ostrzeżenia Europejczyków, poznanych w czasie pobytu w Assab.

– O robieniu zdjęć lepiej nie myśleć. Fotografowanie ludności, zwłaszcza nomadów w pustyni Danakil, grozi dużym niebezpieczeń-



Cesarz Yekuno Amlak 1270 r.

stwem. Oni są uzbrojeni. Nie tylko w noże i dzidy, ale i w broń palną. Były wypadki, że nomadzi strzelali do fotografujących. To są dzicy ludzie. Nie uznają żadnej władzy. Administracja jest bezsilna. Rządzą się swoimi szczerpowymi prawami, nie oglądając się na przepisy państwowe – są posłuszni tylko swemu sułtanowi. Addis Abeba – daleko, posterunki policji – tylko w większych skupiskach ludzkich. Pustynia jest ich, tylko ich. Proszę spojrzeć na tę mapę. Naniezione tu są szlaki karawan, wiele z nich uprawia

przemyt. I co? Myślisz, że sama świadomość tego, że przez pustynię idzie przemyt, wystarczy żeby z tym skończyć? Że wystarczy znać ich drogi? Są, proszę. Są i jeszcze wiele lat będą, bo nikt nie zna pustyni tak jak oni, nikt nie ma takiego wywiadu – tak, wywiadu. Przy wszystkich drogach mają swoich szpiegów. Wiedzą o każdym ruchu policji. Ostrożnie, tylko ostrożnie. Nie można dać się zwieść pozorami asfaltowej szosy. Będziesz jechał wiele kilometrów przez dziki kraj, zamieszkały przez wojowniczych koczowników. Dalej, na wyżynie jest



już spokojnie. Tam żyją ludy osiadłe, rolnicze. Jeśli już koniecznie chcesz wziąć aparat fotograficzny, uwaga również na policję. Tu władze bardzo nie lubią, jak się fotografuje nędzę i prymitywizm, czyli wszystko poza przyrodą. Etiopia chce być krajem cywilizowanym.

Patrzyłem na rozmówcę z niedowierzaniem; czy to rzeczywiście możliwe? W dwudziestym wieku? W kraju gdzie są miasta, szkoły, szosy, urzędy, hotele, gdzie bez paszportu i wiz niepodobna się dostać? A może to właśnie pustynię Danakil miał na myśli Amerykanin John Gun-

ther pisząc w książce „Afryka od wewnątrz”: „Niektóre części Etiopii są jeszcze na pół dzikie. Jest to jeden z niewielu krajów afrykańskich, gdzie na niektórych obszarach samotnemu człowiekowi grozi naprawdę niebezpieczeństwo”.

Fakt, że pierwszy Europejczyk pojawił się na danakilskiej pustyni dopiero w roku 1928, też daje dużo do myślenia...

A niech się dzieje co chce, dłużej w samochodzie nie wytrzymam, za gorąco. Wychodzimy.

Wzdłuż szosy ciągnie się szereg chałup. Kopaste strzechy z pokręconych gałęzi akacji i kar-



łowatych krzewów, na które narzucono pęki wysuszonych traw, wspierają się na popękanych glinianych ścianach. W cieniu chałup siedzą, zajęte pracą, kobiety. Pochylone nad glinianymi dzieżami, wyrabiają ciasto na placki *kibis*, inne w wysokich naczyniach, drewnianymi tłuczkami ubijają ziarna durry na mąkę. Z jakiejś bocznej ścieżki wyszedł, obciążony nieprawdopodobną ilością bukłaków z wodą, mały szary osiołek, za nim gęsiego kilka kobiet. Każda z nich dźwiga na plecach pełen wody gliniany dzban. Cały ten pochód przeciąga obok nas.

Kobiety mają opuszczone głowy i pozornie nie zwracają na nas uwagi. Widzę jednak krótkie, błyskawiczne spojrzenia, jakimi nas obrzucają. Dziewczęta przechodzące obok nas są młode, zgrabne i pomimo ciężkich dzbanów, poruszają się z gracją i wdziękiem. Długie spódnice, upięte w talii z jednej sztuki ciemnobrązowego materiału, to właściwie cały ich strój. Mają jeszcze tej samej barwy chusty, które noszą albo zwinięte na głowie, albo narzucone luźno na ramiona. Szczupłe, ciemne twarze o wysokim czole, piękne, dumnie wygięte brwi, czarne duże oczy, otoczone długimi rzęsami i wąskie o zgrabnym wykroju usta, przypominają mi twarze z ikon.

Jest wreszcie kierowca, maleńki, zasuszony Hussein, uśmiecha się pogodnie pod olbrzymim żółtym zawojem i naciskając bez przerwy klakson, rusza szarpiąc potężnie i tak rozklekotanym volkswagenem.

Tuż za wsią zagradza nam drogę olbrzymie stado kóz. Wbijamy się w środek i przepychając zderzakiem bardziej uparte sztuki, wydostajemy się na pustą szosę. Obok asfaltu biegnie, wydeptana w piasku, wąska ścieżka wielbłądziego traktu. Po kilku minutach jazdy doganiamy idącą nim karawanę. Długi rząd ciężko objuczonych wielbłądów, z kroczącymi obok wielbłądnikami, przesuwa się za oknami samochodu. Poznajemy w nich nomadów, których widzieliśmy w wiosce. Widocznie Elidahar, bo tak się nazywa wieś, gdzie zatrzymaliśmy się, jest jednym z etapów ich drogi. Mijamy czoło karawany. Stanowią je trzej, jadący wierzchem na wielbłądach, jeźdźcy. Przez plecy mają przerzucone karabiny. Patrzą obojętnie przed siebie, nie zwracają uwagi na warkot mijającego ich samochodu.

Elidahar? Zaraz, coś o tej miejscowości mó-



wiono mi jeszcze w Assab. Co to było? Aha, Elidahar jest nieoficjalną stolicą koczowników z pustyni Danakil. Tu skupia się handel wymienny, tu kupuje się i sprzedaje: wielbłądy, bydło, kozy, osły, nawet konie. Grupy pasterzy przepędzają tędy stada hodowanych w sawannie zwierząt. Tu również zasięgają języka u stałych mieszkańców wioski, doskonale zorientowanych we wszystkim, co się dzieje na trasie z Assab do Desje. Pewnie niejedna już karawana z podejrzany ładunkiem przeszła tędy, pewna swej bezkarności.



Jedziemy piękną asfaltową szosą przez kraj pustynny, wypalony słońcem do cna. Ta część pustyni nazywa się Manda. Między rozrzuconymi jak bryły żużlu skałami magmowymi, gdzieś niedziedzie kępki suchych jak pieprz bylin, niskich krzewin i wątłych zszarzałych ziół. Od Assab dzieli nas już około 160 km. Szosa początkowo niewidocznie, teraz już zupełnie wyraźnie, wspina się coraz wyżej. Przed nami zamglony dała łańcuch wysokich gór. Oglądane przez lornetkę, przypominają olbrzymie schody, ze wspinającymi się coraz wyżej stopniami. Każdy taki sto-

pień-taras ma dziesiątki kilometrów szerokości, i sięga od krańca do krańca horyzontu. Zbliżamy się do Wyżyny Abisyńskiej. Na razie poza sinawą barierą gór na widnokręgu, nic się nie zmienia. Za zakrętem szosy widać na wyblakłym od upału niebie kołujące leniwie sępy. Znaczący to, że dojeżdżamy do jakiegoś osiedla.

I rzeczywiście, tuż przy szosie dwie nędzne budy sklecone z wyprostowanych blaszanych beczek po asfalcie, starych skrzynek, gałęzi, gliny, czego tam zresztą nie ma... Jest na pewno jedno – nędza. Straszliwa, przekraczająca granice pojmowania. Dwoje małych, zupełnie nagich dzieci, stoi tuż przy skraju szosy. Olbrzymie głowy, chude ramionka, rozdęte brzuszki, krzywe cienkie nogi. Kierowca zwalnia. Chłopczyk i dziewczynka ledwo patrzą na czerwone zaropiałe oczy. Pewnie jaglica. Pod ścianą baraku siedzi straszliwie chuda i zabiedzona kobieta. Nad wyschniętymi workami piersi sterczą ostro obojczyki. Zza węgła wyłazi, wlokąc po ziemi ogon, żółty wyleniały pies, właściwie szkielet psa. Jest tak samo chudy, jak jego właściciele. Mężczyzny nie widać. W pustyni? Nie żyje? Obok szosy tabliczka, na niej wyblakły napis: „Villo Paradiso”. Tyle lat minęło, a napis brzmiący jak szyderstwo, pozostał. Umieścili go tu pewnie Włosi, gdy byli jeszcze kolonialnymi władcami Erytrei.

Że ci ludzie żyją – rozumiem, z przyzwyczajenia. Pies? Przyzwyczał się do ludzi, ale czym żyją tu sępy?

Krajobraz się zmienia, piaski i kamienie ustępują miejsca suchej, wysokiej trawie, pojawiają się krzewy i zgrabne o płaskiej, rozłożystej koronie, akacje. Wjeżdżamy w sawannę. Teraz szosa meandrami opuszcza się w dół. Dalej, wyrastający pionowymi ścianami wprost z sa-

wiczny, płaskowyż. U jego stóp kilka żółtoburych stożkowych, rozszerzających się ku górze, wysokich ruchomych kolumn. To wiry powietrzne. Potworna siła ssie i unosi w górę tony piasku. Obserwuję formowanie się takiej trąby. W pierwszej fazie wygląda to tak, jakby ktoś z szybkością błyskawicy wodził w koło potężnym biczem po piaszczystej płaszczyźnie. Później bicz zwija się i rośnie wznwyż. Jest jeszcze cienki i przypomina fantastycznego węża, wijącego się ciasnymi splotami. Ogon węża sięga ziemi i stąd czerpie swą siłę; jest coraz wyższy i grubszy. Po kilku minutach formuje się potężny, o kilkudziesięciu metrach wysokości, wirujący z olbrzymią szybkością słup, który rozchyła się u szczytu i szybko przesuwają.

Rozlegający się donośnie w ciszy sawanny warkot silnika, podrywa do biegu stado strusi. Oddalają się leniwym klusem, ciężko kołysząc się na swych olbrzymich łapach. Cudownie zgrabne gazy, nie czekając na nasze zbliżenie, pędzą zda się w powietrzu i po chwili znikają za

Stado strusi afrykańskich



kępami krzewów. Ciągłe jedziemy w dół. Spoglądam na mapę. Na 218 kilometrów słona depresja Dobi. To powinno być gdzieś tu. Jest. Za zakrętem szosy wylania się u naszych stóp ogromna, mieniąca się srebrem biała płaszczyzna. To właśnie sól. Solne jezioro leży w depresji, poniżej poziomu morza. Wchodzę na taflę jeziora. Tak jest, bez żadnych cudów, po prostu – wchodzę. Wody tu nie ma, jest tylko gruba warstwa soli. Biorę szczyptę do ust; może trochę mniej słona od sprzedawanej u nas w sklepach, ale sól, zwyczajna sól. Przy brzegach rośnie kilka kęp słonorośli. Kryształki soli odbijają promienie zachodzącego słońca, tak że całe jezioro mieni się teraz srebrem i różem. Jedyne w cieniu gór widać brudnobiałe płachty, jakby zakurzonego śniegu.

Obok maleńkiej wioski, która swą nazwę wzięła od jeziora i też nazywa się – Dobi, na solnej płycie kilka wielbłądów. Uwijają się przy nich drobne sylwetki ludzkie. To Danakilowie.

Ta sól jest, obok stad bydła, największym skarbem koczowników. Strzegą więc tego skarbu i nie dopuszczają żadnej konkurencji, czyli ludzi z innych plemion. Nieraz staczali krwawe walki w obronie swej „odkrywkowej” kopalni. Zmonopolizowanie wydobycia soli przez Danakilów daje im dochód od setek lat. Sami ją kopią i rozwożą później karawanami do miejscowości leżących na skraju ich pustyni.

Kilka kilometrów dalej przyzma worków z solą i uzbrojeni policjanci. Zda się, że władze usiłują złamać danakilski monopol. Sól w tym jeziorze do dziś ma zapewne duże znaczenie gospodarcze, jeżeli nawet na najmniej szczegółowych mapach Etiopii widnieje nazwa – Dobi. Przecież nie dla tych czterech rozpadających się glinianych chat?

TAJEMNICA PLEMIENIA DANAKIL

Spokojna, usypiająca jazda, czasem tylko błysną w świetle reflektorów oczy jakiegoś zwierzaka, coś ciemnego przemknęło przez gładkie pasmo szosy. Po zachodzie słońca ochłodziło się znacznie i przezornie zabrany sweter przydaje się teraz. Całodzienna jazda w upale daje o sobie znać; solidnie zmordowany co chwila zapadam w drzemkę i już nie bardzo wiem, gdzie się znajduję, dokąd jadę. Świeące punkty przy szosie zmieniają się w oczy młodej Włoszki z Assab, uśmiecha się, widzę białe zęby, ale jakież one dziwne – jak kły. Przecież to nie Włoszka, a ten koczownik co miał spiłowane na ostro uzębienie, szczerzy je teraz i wyciąga ze skórzannej pochwy błyszczący miecz... Budzę się. Znów szosa, monotony szum silnika i kiwająca się nad kierownicą głowa kierowcy omotana chyba z dziesięcioma metrami materiału. Po diabła mu taka piramida na głowie? Aha, przecież w południe, gdy niepodobna już było jechać dalej, bo tego co wytrzymywali ludzie nie wytrzymał już samochód i zagrzał się ponad wszystkie normy, Hussein rozwinął ten swój zawój i przespał się pod nim. Nawet mu nogi nie wystawały. Z myślą o tym jak Hussein zmieścił się pod swoim nakryciem głowy, zasnąłem na dobre.

Zbudziło mnie uczucie unoszenia się w powietrze; było ono zgodne ze stanem faktycznym, bowiem w tej samej chwili palnąłem głową w szybę, na szczęście lekko, bo zdążyłem zaprzeć się nogami. Ten samochód nie znał innego hamowania. Dokoła było ciemno i cicho, a tuż przed samochodem stał rząd beczek po benzynie ustawionych w poprzek szosy. Za nimi czerniły się na tle nieba kontury zabudowań. Odruchowo sięgnąłem po mapę i latarkę.

Hussein lekko uderzył mnie po wyciągniętej do schowka ręce. Pokazał, żeby nie zapalać światła. Obudziłem się całkowicie. Kto ustawił te beczki? Policja? Wojsko? A może... No, tego tylko brak, żeby obrobili człowieka z dewiz, ciuchów i aparatu, bo chyba tylko to nam grozi? Ale jakoś nic się nie dzieje, dokoła pusto. Może czekają aż wyjdziemy? Stoimy kilka minut i nic, cisza. Ruszamy. Okropny brzęk i dudnienie, to przewraca się potracona zderzakiem jedna z beczek. Prawie w tej samej chwili gdzieś z boku rozlega się przeraźliwy wrzask. Z małego szałasu stojącego obok pomyslowego szlabanu, wyskakuje z karabinem zwróconym lufą w naszą stronę, jakiś umundurowany mężczyzna. Na jego mundur składa się zielony policyjny kapelusz o szerokich kresach i krótkie khaki szorty. Resztę ubioru służbowego zastępuje groźna mina i czarny wylot lufy. Mówi coś podniesionym głosem, niebezpiecznie wodząc karabinem po oknach auta. Wychodzimy na zewnątrz. Nasze białe twarze wywierają piorunujące wrażenie. Policjant coś krzyknął w kierunku szałasu. Na posterunku zbudowanym z kilku drągów i pęków trawy – zawrzało. W świetle zapalanej lampy naftowej widać tłoczące się postacie. Błyskają guziki wciąganych na gołe torsy bluz mundurowych, słychać metaliczny szczęk uderzanych o siebie karabinów. Po chwili wypryskuje stamtąd trzech uzbrojonych policjantów; w kilku susach przesadzają szosę i nikną w ciemnościach. Jesteśmy zaniepokojeni tym alarmem na naszą cześć, ale spokojne zachowanie Husseina uśmierza nasze zdenerwowanie. Domyślamy się, że policjanci popędzili po prostu na swoje posterunki, gdzie powinni znajdować się nocą, zamiast beztrudnie spać.

Jesteśmy w Tendaho, osadzie leżącej na 310

kilometrze drogi z Assab do Desje. Policjant ogląda nasze bagaże – *szanta*, jak to się w języku amharskim nazywa. Nie wchodzi do wnętrza samochodu, dokonuje „rewizji” z zewnątrz, świecąc sobie lampą naftową. Następnie szczegółowo przegląda paszporty. Przegląda, ale chyba nie czyta, bo wyraźnej pewności siebie nabiera dopiero po trafieniu na zdjęcia. Porównanie z oryginałami wypada na naszą korzyść i jesteśmy wolni. Jedziemy przez osadę i przy pierwszej lampie naftowej zatrzymujemy się. W porządku, o to właśnie chodziło, jesteśmy w zajeździe, motelu, nie wiem zresztą jak to się nazywa. Grunt, że jest coś gorącego do picia. Można też zanoć, ale to mnie nie interesuje. Gospodarz w białej powłóczyście szacie uśmiecha się mile.

Prosimy o *bunna*, czyli kawę, a przy okazji dowiaduję się, że: *uediet jihedallu* – znaczy w języku amharskim: dokąd jedziecie?, a *synt neu uagau* – ile to kosztuje? Po wyjaśnieniu, że pieniądze to – *ganzeb*, dawać – *sit*, a brać – *uesed* i praktycznym zastosowaniu tej nowo nabytej wiedzy, ruszamy w dalszą drogę. Przedtem jednak trzeba pożegnać się ze współtowarzyszem podróży, który pozostał w Tendaho. Ten starszy już wiekiem Anglik, został zaangażowany do prac przy nawadnianiu pustyni właśnie w tych okolicach.

Dużo było szumu wokół tej sprawy, szczególnie w prasie etiopskiej, tak jakby nie było dość wspaniałej ziemi na Wyżu, uprawianej metodami, które już w średniowieczu uważane były w Europie za przestarzałe. Faktem jednak jest, że rzeczywiście nawodniono sporo bezwodnych dotychczas terenów, gdzie uprawia się przede wszystkim bawełnę. Skąd tutaj woda? Proste – z rzeki. Tylko, że o tej rzece nie wiedziano przez

setki lat, a zdarzało się zapewne, że kto się o niej dowiedział, a nie powinien, i tak nikomu o swoim odkryciu nie mógł powiedzieć, bo po prostu zginął. Rzeka Auasz, spływająca z Wyżyny Abisyńskiej i wpadająca do słonego jeziora Abbie, znajdującego się na granicy Etiopii i Francuskiego Terytorium Afarów i Isów (skąd już nie wypływa dalej, bo większe jest odparowanie niż dopływ wody), była najściślej przestrzegana tajemnicą plemienia Danakil.

Dla koczowników ta rzeka jest wszystkim – ich życiem. W suchych latach wędrowano do niej ze stadami i kilkaset kilometrów. Kto dotarł do jej brzegu – żył, komu się to nie udało – umierał w pustyni. Powiedzenie, że woda dla człowieka na pustyni jest największym skarbem, brzmi banalnie, ale jakże jest prawdziwe. Koczownik żyje w warunkach dla nas, ludzi z klimatu umiarkowanego, wręcz niewyobrażalnych. Cała jego inteligencja, energia, spryt skierowane są tylko w jednym kierunku – znaleźć pastwisko dla stada. Tutaj cała sztuka życia sprowadza się do umiejętności przetrwania braku wody, jedzenia, burz piaskowych, upału i zimna, bo różnica temperatury między dniem a nocą sięga i kilkudziesięciu stopni. Taki człowiek nie zna litości, bo nigdy się z nią w życiu nie spotkał i jest okrutny, bo okrutna jest przyroda dla niego. Jest bezwzględny w walce o pastwisko i o swoje stado, bo ono jest gwarancją przetrwania jego i rodziny. Mówi się o Danakilach – a nie są to bajki – że młody człowiek może dopiero wtedy wziąć żonę, gdy zabije innego młodego mężczyznę. Skąd ta krwiożerczość? Przyczyna wydaje się prosta – pustynia nie jest w stanie wyżywić zbyt wielu ludzi, a jeden mężczyzna to jedna rodzina i jedno stado więcej... Jedna rzeka też dla wszystkich nie wystarczy, dlatego

lud Danakilów, który ją odkrył strzegł, aby miejsce gdzie ona płynie zostało znane tylko im. Nic więc dziwnego, że ci wolni jak wiatr pustynny pasterze, którym i rozbój nie jest obcy, bo zawsze byli i są wojownikami, co w połączeniu z biedą do tego prowadzi, dopiero na wyraźny rozkaz ich sułtana, wpuścili na swoje terytorium obcych ludzi z wielkimi maszynami i zniechęconych „górali”, czyli Amharów, którzy uprawiają teraz ich ziemię, pijącą wodę z ich rzeki. Ani jeden Danakil nie zgodził się pracować na plantacjach, dalej pasą swoje stada, nie bardzo bacząc co zjadają ich wielbłądy, bydło i kozy. A to znów prowadzi do zatargów. Nie robią tego zresztą złośliwie, oni naprawdę nie są w stanie zrozumieć, dlaczego zwierzę, które ich karmi i poi nie może zjeść zielonej rośliny.

Patrząc na nich jeszcze w Assab, nieraz myślałem: „Przecież to zwykli ludzie, tyle że inaczej ubrani i mówiący innym językiem, ale bardzo do nas, Europejczyków z rysów twarzy podobni, tylko odrobinę ciemniejsi. Widzą nowoczesne maszyny, statki, widzieli nieraz przelatujący nad nimi samolot. Żyją tak jak my – w XX wieku”. Ale gdy zobaczyłem ich u siebie, w pustyni, gdy poczułem jej okrutny żar, beznadziejną pustkę, niewyobrażalną martwość i ogarnął mnie zwyczajny lęk przed tym nagromadzeniem złych sił przyrody, zrozumiałem, że jest im zupełnie obojętne, w jakim wieku żyją. Tu nie czas mierzony na godziny i lata się liczy, tu ważne jest kiedy i gdzie znajdzie się pastwisko dla stada.

Od wyjazdu z Tendaho czuję wyraźnie wilgoć w powietrzu. Noc jest bezksiężycowa, ciemna. Stajemy, Hussein gramoli się z kierownicy i widzę już tylko z wolna oddalającą się jasną plamę jego zawoju. Patrzę w ślad za nim i do-

strzegam po bokach szosy jasne kontury jakiejś konstrukcji. Niskie słupki, wsparta na nich szeroka poręcz, ależ tak – to balustrada mostu. Jesteśmy nad rzeką Mille. Nie szukajcie jej na mapach, próżny trud, nie znajdziecie. Prawdę mówiąc, nie powinno jej tu teraz być. Mille jest jedną z wielu rzek, wzbierających wodą tylko w porze deszczowej. Zimą po takich rzeczkach zostają tylko kamienne wąwozy zwane *chor*. Ale teraz, gdy wtrącił się człowiek, Mille ma zawsze wodę z Auasz.

Schodzę ostrożnie, między piętrzącymi się skałami, na dno wąwozu. Ciemna, oleista masa



Znaczek wydany z okazji przyłączenia Erytrei do Etiopii w 1952 r.

wody płynie leniwie, bełkocząc na leżących u brzegu kamieniach. Obmywa sterczące z dna białawe głązy, tworząc za nimi, błyszczące iskrami kropel, warkocze.

W głowie szumi mi jeszcze od monotonnego warkotu silnika, ale czuję jak z wolna ogarnia mnie ogromny spokój i cisza. Wtapiam się w ciemną, tropikalną noc. Podświadomie staram się ściszyć oddech, aby niczym nie zakłócić fali dźwięków płynących z otaczającej wszystko sawanny. Słyszę teraz jakiś niezwy-

kły, tajemniczy koncert życia: szemrzący plusk wody, lekki jak westchnienie łopot skrzydeł przelatującego tuż nad głową nietoperza, jego lękliwy pisk, jakieś przytłumione, trudne do zidentyfikowania odgłosy. Wszystkie te dźwięki stanowią dyskretny akompaniament dla wspaniałej kapeli wirtuozów – cykad.

Rozbieram się szybko i do wody. Okazuje się, że jest cieplejsza od powietrza. Układam się wygodnie na wielkim, płaskim kamieniu i słucham jak woda płynie. Oczywiście, męczące przez cały dzień pragnienie, przeszło jak ręką odjął. Wystarczyło tylko, że jest dużo wody. O przewrotna ludzka naturo! Bekkele – mały Amhara, który albo śpi na podłodze samochodu, albo śpiewa tak przeraźliwie zawodząc, że aż wierci w uszach, teraz zanurzył się chyba po czubek głowy, bo jakoś go nie słyhać. Z mostu dochodzi nas wołanie Husseina; czas jechać dalej.

Migają pojedyncze krzewy, akacje, jakieś błyszczące fosforyzującym blaskiem oczy, smyrga tuż przed kołami fenek o ogromnych uszach i puszystym ogonie, zwany lisem pustynnym. Pędzimy teraz z szybkością ponad 80 km na godzinę, co jest wyczynem stanowczo ponad możliwości samochodu i chyba kierowcy.

Wyraźnie odświeżony chłopak znów „śpiewa”, co brzmi jak powtarzane bez końca bee... bee... bee... przerywane jakby czkawką w chwilach wstrząsów samochodu. Uwalnia nas od tego solowego popisu zbliżające się szybko nikle światelko. Wjeżdżamy między ciemne, uśpione chaty, przypominające rodzime kopy siana. Hussein podjeżdża pod jakąś werandę, oświetloną naftową lampą.

Weranda, zbudowana z prętów bambusowych i mat, okazuje się restauracją. Stoją w niej, na ubitej ziemi – klepisku, dwa długie, zbite z de-

sek stoły, obok nich ławy. Naprzeciw wejścia wisi duży, bardzo kolorowy portret cesarza Hajle Sellasje. W ciemnym kącie prycza, z której na nasz widok wstaje młoda kobieta o bardzo ciemnej skórze.

Hussein nie może się z nią dogadać, za tłumacza służy Bekkele. Widzę po zachowaniu kierowcy, że jest diabelnie głodny. Dlatego pewnie tak pędził.

Gospodyni, zażywna, nie pozbawiona kobiecych wdzięków i kokieterii, na imię ma Kadzidza. Jest ruchliwa, roześmiana i energicznie pogania dwóch małych pomocników, którzy wyleźli z jakiegoś zakamarka. Są półnaczy, a ich czarne ciała lśnią w błyskach płonącego na odkrytej kuchni ognia. Po piętnastu minutach otrzymujemy makaron z sosem pomidorowym, czosnkiem, pieprzem i oliwą – jest świetny.

Piję piwo, które mimo ciepła jest chłodne i orzeźwiający. Tajemnica jego niskiej temperatury jest bardzo prosta. Po prostu Kadzidza ma ... lodówkę. No, może niezupełnie taką jak

Garncarstwo etiopskie z IV–III w. pne.



my znamy, ale chłodzi doskonale. Konstrukcja jej jest bardzo nieskomplikowana. W jednym z kątów lokalu wygrzebano dołek, w którym leżą butelki piwa pokryte wilgotnymi szmatami. Trzeba tylko co kilka godzin polewać „urządzenie” wodą, i w ten sposób uzyskujemy odpowiednią temperaturę.

Gawędę przy piwie, przeplataną śmiechem Kadzidży, która zaintrygowana moją narodowością próbuje powtarzać chrześczańskie polskie słowa, przerywa wejście jakiegoś ciemnoskórego młodzieńca z długim karabinem. Ubrany jest dość swobodnie. Od pasa w dół ma na sobie coś, co kiedyś prawdopodobnie było spodniami, na ramionach zaś strzępy bawełnianej koszuli. Ze strojem tym kontrastuje zdobiące mu głowę eleganckie „sombbrero”, wykonane z białej słomki. Do szerokiego randa wpleciona jest pętka – ucho. Dzięki temu pomysłowemu udoskonaleniu kapelusz można wieszać na gwoździach, haczykach itp.

Strój ludowy z rejonu Harer



Młody człowiek stoi milcząco i przysłuchuje się naszej rozmowie, bacznie nas obserwując. Kadzidża na jego widok stała się jeszcze bardziej rozbawiona, przysiadła się do nas na ławę, co chwila wybucha śmiechem. Jest wyraźnie zalotna.

Targany widać zazdrością młodzieniec nie wytrzymuje. Poprawia kapelusz, obciąga dziurawą koszulę, zdejmując z pleców karabin i suchym oficjalnym tonem zaczyna przemowę, pełną znaków zapytania.

Kończy ją przypuszczalnie jakimś żądaniem, bo wyciąga rękę w moją stronę.

„Ki diabeł. Kto to jest i czego chce? Może policjant, ma przecież broń; ale karabin i żonę to tu każdy może sobie kupić” – myślę i czekam co będzie dalej.

– On jest tu w Eloa, policjantem, tylko nie nosi munduru w nocy, bo go oszczędza – tłumaczy Bekkele Husseinowi, a ten mnie – i chce zobaczyć twoje dokumenty. Pyta, skąd i dokąd jedziesz? Jaka narodowość? Czy zostajesz tutaj do rana?

Podaję paszport. Znów ta sama, w całej Etiopii powtarzana policyjna sztuczka z „niby czytaniem”, porównywanie ze zdjęciem i OK. Jeszcze wyjaśniam kto ja, skąd, dokąd, że prześpiemy się trochę i jedziemy dalej i policjant uspokojony, stawia karabin w kącie, wiesza kapelusz na gwoździu i zasiada do stołu. Oczywiście, obok gospodyni. Stawiam mu lemoniadę, niech wie z kim ma zaszczyt. Gawędzimy sobie w stylu tak trafnie ujętym w naszym przysłowiu: „jak gęś z prosięciem”, bo chłopak i Hussein już dawno wyłączyli się z towarzyskiej rozmowy. Dopiero głośne chrapnięcie przerywa nasze próby wymiany poglądów w różnych językach. To Hussein siedzi skurczony na ławie

i śpi. Spod zsuniętego na nos potężnego zawoju widać wygoloną, małą główkę. Zbudzony nagłą ciszą otwiera szeroko oczy i patrzy na nas zdziwiony. Mruga chwilę nieprzytomnie, ale natychmiast pieczołowicie umieszcza zawój na swoim miejscu i wyciąga się na ławie. Robię to samo.

Po godzinie snu ruszamy dalej. Droga zaczyna ostro wspinać się po zboczu góry i mamy teraz sensacji co niemiara.

Trawersujemy prawie pionową ścianę. Szosa biegnie po wykutych w skale półkach, przebija się krótkimi tunelami, na wirażach celuje prosto w przepaść, by za moment nagle skręcić. Smugi reflektorów wyluskują z ciemności wąski pas asfaltu, omiatają przesuwające się z prawej strony popękane, pionowo piętzące się skały. W pęknięciach rosną bujne krzewy i kaktusy o niezwykłych kształtach. Ukazują się nagle w smudze światła, przybierając postacie jakby czatujących na podróży fantastycznych zwierząt i po chwili nikną. Z lewej strony światło przesuw

Samolot pasażerski nad szczytami górskimi



Samolot pasażerski nad wodospadem

się po krawędzi szosy i nie znajdując dalej żadnego oparcia, ginie w ciemnościach. Na zakrętach doznaje się uczucia wjeżdżania w pustkę. Dopiero tuż nad niewidocznym urwiskiem, kiedy wydaje się, że za moment nasz mikrobus zmieni się w samolot i wystartuje, by zwalić się natychmiast koziółkując w przepaść, życzliwe reflektory wyszukują wąski pas asfaltu. Zupełnie niespodziewanie, z obydwu stron drogi, pokazują się krzewy, drzewka, kamienie; kończy się górską

wspinaczka i jedziemy po terenie zupełnie płaskim. Tu zastaje nas świt. Słońce z szybkością widoczną gołym okiem, szybko wznosi się nad horyzont. Wzdłuż drogi pędzi stado gazeli, wydaje się, że gdyby tylko zechciały, mogłyby nas bez wysiłku przegonić. Po dwóch godzinach jazdy wyrasta przed nami następny stopień Wyżyny Abisyńskiej. Jedziemy jak po wielkich schodach. Znow szosa zaczyna wić się pod górę. Coraz bardziej zielono, na skałach obok kaktusów gęste krzewy, są już i pierwsze liściaste drzewa. Do tej pory były jedynie palmy w Assab i akacje podobne do otwartych parasoli na sawannie. Akacje zupełnie inne od naszych, ponieważ drzewo nazywane popolicie w Polsce akacją to grochodrzew i niestety nie można z jego żywicy wyprodukować świętego kleju, zwanego gumą arabską. Tę „gumę” daje tylko prawdziwa akacja. Na szosie tuż za zakrętem figluje stadko rebusów, uciekają szybko wspinając się po skałach. Po kilku kilometrach, w dolince poniżej drogi, kilkadziesiąt pawianów. Zupełnie nie zwracają na nas uwagi.

Są to pawiany dżelada. Samce mają potężne „lwie” ciemnobrązowe grzywy, a miejsca nie owłosione barwy szkarłatnej. Tułów dorosłego samca często przekracza jeden metr długości, a białe, długie, mocne zęby, ogromna siła, zręczność i przede wszystkim fakt, że żyją w stadach i bronią się zespołowo, utrzymuje z dala od pawianich gromad wszystkie drapieżniki.

Gdzieś tu w górach żyje również lis semieniu, rudy z czarnym ogonem, dużo większy od naszego. Jest to zwierzę występujące wyłącznie na terenie Etiopii. Są także serwale, borsuki, szakale i hieny. Można zresztą bez obawy większej pomyłki stwierdzić, że w Etiopii spotyka się prawie wszystkich przedstawicieli fauny afrykańskiej. Jest to zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę

niezwykle zróżnicowany klimat, rzeźbę terenu i różnorodną roślinność kraju. W sawannach żyje ponad 40 odmian antylop, zebry, żyrafy i bawoły. Polują na nie takie drapieżniki jak lamparty, geopardy i lwy, które jednak zostały już mocno przetrzebione. Ocalało ich trochę jedynie na południu, w rejonach bardzo słabo zaludnionych. W lasach tropikalnych żyją słonie i nosorożce, a w większych rzekach i jeziorach krokodyle i hipopotamy. Wśród skał i w gęstym poszyciu drzew kryją się jaszczurki i węże, a nad płaską równiną sawanny, nad ambami i niedostępnymi szczytami panują sępy, biało-czarne myszołowy, sokoły, orły i wiele innych ptaków.

Skręcamy z szosy w wąwóz – gdzie zielono, tam musi być i woda. Rzeczywiście po pionowej skale ścieka źródelko. Obok kilka dorodnych drzew papaji z dojrzałymi owocami. Bekkele działa, po chwili już jemy smaczne, soczyste, podobne do melonów owoce. Dalej cały prawie wąwóz wypełnią potężne drzewo figowca o jas-

Żyrafy



nej korze. Chłodno, przyjemnie, wprost nie chce się stąd ruszać, a trzeba. Na 445 kilometrów od Assab – miejscowość Batie, nic tu ponad parter nie wystaje. Jest na mapie jako miasto, a w rzeczywistości to zwykła wioska. Czterdzieści kilometrów dalej i dużo wyżej, leży podobna miejscowość Kambolchia, mijamy ją i wspinamy się uparcie – do Desje pozostało jeszcze dwadzieścia trzy kilometry. Nagle coś huknęło, zadudniło i na szosę przed nami poszła lawina kamieni. Nie trzeba było specjalnie hamować, aby samochód zatrzymał się, a nawet



Prostorożna antylopa afrykańska

zaczął jechać z powrotem. Na wszelki wypadek szybko z niego wyskoczyłem. Hussein jakoś osadził toczące się auto, wysiadł, włożył pod tylne koła dwa kamienie, spojrzął przed samochód i powiedział: *Inszallah*, co znaczy – będzie jak bóg zechce. Spokojnie wyjął spod siedzenia mały dywanik, odszedł na skraj drogi i zaczął „odrabiać” porcję pokłonów, przepisanych przez Koran na tę porę dnia.

Poniżej drogi biegnącej zakosem po stromym stoku tkwiły nieruchome w porannej ciszy drzewa

cukaliptusowe. Gdzieś w dole między nagimi pniami, migotał metaliczny blask. Jeszcze kilka kroków... tak, to cel podróży. W dolinie okolnej zielonymi szczytami rozsiało się jak wielki metalowy grzyb, miasto blaszanych dachów – Desje. Nie zieleń drzew, którą tam na dole w pustyni naśladują palmy w oazach, nie góry – i te bowiem są na pustynnym wybrzeżu Morza Czerwonego – ale właśnie te blaszane dachy mówią, że jestem już w innej Afryce. W Afryce, gdzie pada deszcz, rzecz na pustyni prawie nieznaną. Inna Afryka, inni ludzie. Tam wojownicze



Lew i lwica

plemiona nomadów, tu osiadły rolniczy lud. A to, że niektórym pastuchom w górach znudzi się czasem dojenie owiec i zabawiają się w Janosików, łupiąc spokojnych wieśniaków i podróżnych, nie zmienia faktu, że górale to lud rzeczywiście spokojny i gościnnie.

Fatalizm dobry dla wyznawcy islamu jakim był Hussein, absolutnie mi nie odpowiadał. Chciałem być natychmiast tam na dole – w mieście. Wzięliśmy się z Bekkele do roboty. Trzeba było z szosy zrzucić sporo drobnych i kilka du-

żych złomów skalnych. Podobno człowiek jest urządzeniem składającym się z około 200 maszyn prostych typu dźwigni jednostronnej, „napędzanych” za pomocą mięśni, które aż o 50 procent mogą się wydłużyć. Idąc człowiek rozwija moc 0,1 konia mechanicznego. Uruchomiłem te 200 dźwigni, a mięśnie wyciągnęły mi się chyba o 100 procent.

Pracowałem z mocą co najmniej 10 koni mechanicznych i wreszcie kamienie zostały zwalone w dół. Hussein był wyraźnie zdziwiony i nawet zgorszony moim zachowaniem.



Ślonie afrykańskie

W Desje znaleźliśmy się przypadkiem, bo na zdrowy rozsądek biorąc, powinniśmy trafić do koptyjskiego nieba, jako męczennicy zamordowani przez muzułmanina. Hussein zwiózł nas z gór do miasta, ukrywając przed nami fakt, że w jego samochodzie nie działają hamulce. „*Inszallah*” – co oznacza również – bóg tak chciał.

DESJE – BRAMA DO STOLICY

Dzień był akurat targowy i z gór zeszło dużo rolników z rodzinami, ruch na ulicach był więc ogromny, choć co najmniej połowę przechodniów stanowiło bydło gnane na targowisko, albo już przez nowych właścicieli z powrotem do wsi. Kręcąc się po placu, gdzie dokonywano transakcji, rzadko widziałem w rękach ludzi pieniądze, dominował handel wymienny. Ale płacono też solą w bryłkach, zwanych *amole*. Podobno nie tak dawno jeszcze temu sól spełniała w Etiopii rolę pieniądza, a więc chodziłem w Dobi po walucie. Szkoda, że nie wykopałem sobie kilku woreczków.

Później trafiłem na ulicę rzemieślników. Krawcy, garncarze, szewcy, stolarze, garbarze pracowali wprost na ulicy. Widząc, że robię zdjęcia niektórzy łapali mnie za rękę, pokazując na siebie i aparat. Ale mieliśmy bardzo różny stosunek do sposobów przedstawiania ludzi na zdjęciach; ja chciałem ich fotografować przy pracy w pozie naturalnej, oni zaś uważali, że sprawa jest zbyt poważna, aby przy tym pracować. Wyrężali się na baczność i zamierali w bezruchu, wpatrując się z napięciem w obiektyw. Trzask migawki wywoływał nerwowe drgnięcie, a dopiero po chwili – wyraźne odprężenie wyrażające się śmiechem. Dziękowali wylewnie, ściskając w obydwu dłoniach moją rękę, choć doskonale wiedzieli, że przecież tych zdjęć nigdy nie zobaczą. Myślę, że chodziło im o dreszcz emocji, wypróbowanie własnej odwagi. Bo choć doskonale wiedzą jak wygląda fotografia, znają wygląd aparatu i do czego on służy, to wszystko to co dzieje się między zwolnieniem migawki a gotowym zdjęciem, jest dla nich wielką tajemnicą. Istnieją także prymitywne

ludy m.in. właśnie Danakilowie z pustyni, wierzące głęboko, że robiąc im zdjęcie zabiera się nie tylko ich podobiznę, ale i duszę. Mieszkańcy Desje pewnie już się tego nie obawiają, ale fotografowanie jest dla nich jeszcze ciągle przygodą.

Następne minuty miały wykazać, że nie tylko dla nich. Po przejściu ulicy rzemieślników, znalazłem się na drodze wylotowej z miasta. Po jednej stronie stacja benzynowa „Shell” i kilka wielkich ciężarówek tankujących benzynę, po drugiej gliniane chałupki. Nagle zza zakrętu wyszła grupa mężczyzn z karabinami w rękach. Owinięci w białe *szemmy*, mieli narzucone na ramiona koce, a przy szerokich pasach duże zagięte noże w skórzanych pochwach i mocno już wychudzone buklaki z wodą zsyte z całych skór kozłat. Dopiero gdy znaleźli się obok mnie, dostrzegłem w środku dwóch mężczyzn skutych solidnymi łańcuchami. Bandyci? W górach Etiopii, jak wszędzie tam gdzie bieda, zawsze byli zbójnicy, w języku amharskim *szyfta*. A może to

Znaczek wydany w 1909 r. dla kolonii włoskiej Erytrei, ukazuje ciężką pracę na roli



jacyś więźniowie polityczni, przeciwnicy cesarskiej władzy? Ale dwaj idący z boku policjanci wyraźnie tylko asystowali eskortie więźniów. Możliwe, że są to dzierżawcy ziemi, co nie zapłacili w porę swemu panu i teraz „przyboczna gwardia” feudała odprowadza ich do sądu. Szybko zrobiłem zdjęcie, jedno, drugie... I już po chwili sam byłem prowadzony przez policjanta, tyle że bez kajdan na rękach. Towarzyszącą nam gromadę dzieci policjant odpędzał początkowo argumentami słownymi, a gdy to nie pomagało, zaczął rzucać kamieniami. Trzeba przyznać, że wybierał raczej małe kamyczki i nie starał się trafiać.

Komendant posterunku poprosił o aparat, wygłaszając przedtem dłuższe przemówienie na temat uroków krajobrazu etiopskiego, który jest na pewno wdzięczniejszym obiektem do fotografowania niż jakieś zbiry. Zapytał następnie, dlaczego to szczególnie zależy mi na fotografowaniu biednych ludzi, którzy tego nie lubią i mogą mi zrobić krzywdę, za co on będzie w końcu odpowiadał. Dziwił się dość długo, aż w końcu zdefiniował swoje zarzuty: „Wy, Europejczycy, nie chcecie widzieć tego co się u nas buduje, nie zależy wam na zdjęciach naszych nowoczesnych domów, fabryk i szkół. Unikacie tego co nowe, a polujecie tylko na «egzotykę», na prymityw, który istnieje w każdym kraju. U was zresztą też na pewno by się coś znalazło dla Afrykanina. Robicie te zdjęcia, a później oglądają je miliony ludzi w waszych gazetach i wyrabiają sobie fałszywy pogląd o Etiopii”.

Na moje pytanie, czy jestem aresztowany, oficer oświadczył, że o tym nie ma nawet mowy, tylko po prostu chwilowo „do wyjaśnienia” mogę się czuć gościem – jego osobistym gościem. Zostałem zaproszony na ocienioną werandę,

gdzie policjant po chwili przyniósł kawę.

Otrzymałem także wydawaną w języku angielskim gazetę „The Ethiopian Herald”, reklamującą na pierwszym miejscu cesarza (bo tak musiała zaczynać się każda gazeta w Etiopii), a zaraz obok Coca-Colę (odświeży cię najlepiej!) i Ethiopian Airlines (codzienne połączenia z Europą, szybko i luksusowo!). Gazeta różniła się tym od innych, że pod winiętą tytułową widniały dwie daty. Jedna z nich zgadzała się całkowicie ze znaną mi rachubą czasu, druga natomiast była o dobre kilka lat wcześniejsza. Skąd ta różnica? Zdecydowana większość ludności posługuje się tu „kalendarzem etiopskim”, liczonym od początku ery etiopskiej, zwanej „erą łaski”. Rok w tym kalendarzu podzielony jest na trzynaście miesięcy: dwanaście ma trzydzieści dni, a jeden – ostatni – resztę, pięć lub sześć. Święto Nowego Roku obchodzone jest bardzo uroczyście.

Rok etiopski rozpoczyna się 11 września (wg kalendarza gregoriańskiego), miesiąc ten nazywa się *meskarem*, po nim następują: *tekemt*, *hedar*, *tahsas*, *ter*, *jekatit*, *megabit*, *mijazja*, *genbot*, *sanie*, *hamlie*, *nehassje* i najkrótszy – *paguymien*. Różnice kalendarzowe nie są dla obcokrajowca jedynym kłopotem z liczeniem czasu w Etiopii, więcej problemów stwarza stwierdzenie, która jest godzina. Etiopczycy uważają bowiem, że rozpoczynanie nowego dnia w nocy, dobre jest dla nocnych zwierząt, a nie dla ludzi. Dzień zaczyna się wtedy, gdy wschodzi słońce – twierdzą. A ponieważ w Etiopii słońce wschodzi bez względu na pory roku około naszej szóstej rano, dla nich jest to dwunasta. Gdy nasze zegary wskazują szóstą po południu, dla Etiopczyka zegar bije dwanaście razy. Na szczęście ten sposób rachuby czasu stosowany

jest raczej już tylko w kontaktach prywatnych, wszystkie urzędy, kolej, autobusy, hotele stosują nasz podział doby.

Kiedy siedziałem samotnie „do wyjaśnienia” na policyjnej werandzie, nie w głowie mi były czasowe kombinacje, martwiłem się o swoją przyszłość. Czy natychmiast wyrzucą mnie z Etiopii, czy trochę później, aż się „wyjaśni” i co do diabła ma się wyjaśniać? Paszport jest, wiza jest, błogosławieństwo gubernatora z Assab jest... Ale co tu ma za znaczenie jakiś tam odległy gubernator, przecież Desje to stolica prowincji Uello, tu kto inny jest gubernatorem. Kiedy tak rozmyślałem patrząc na główny plac miasta, naraz po schodkach wdrapał się, po uprzedniej krótkiej wymianie zdań z krążącym przed werandą policjantem, jakiś Europejczyk. Usiadł, powachlował się kapeluszem, otarł chustą wielkości bandery lotniskowca zroszoną potem łysiną i przedstawił się szybko i na tyle niewyraźnie, że zrozumiałem tylko bardzo długie „i” na początku i „s” na końcu.

– Z Europy? – zapytał.

– Tak.

– A dokładnie?

– Z Polski.

– A ja z Hertford, niedaleko Londynu. Pasja do zdjęć fotograficznych? Słyszałem już, tu się nic nie ukryje. Właśnie szedłem z pracy do domu, gdy dzieciaki mi powiedziały, że policjant prowadził jakiegoś *ferendzi*, co fotografował ludzi.

– Pech.

– Ee, jaki tam pech. To normalne. Przyjeżdżają tu czasem turyści, co to naczytali się w przewodnikach, że „Etiopia jest rajem dla fotoamatorów” i robią zdjęcia tutejszej biedy i zacofania. A policja im przeszkadza jak może.

– Miałem pecha sfotografować jakichś dwóch ludzi skutych łańcuchem.

– Drobnostka, ciągle ich tu sprowadzają, z całej prowincji. Wszędzie są przestępcy, tyle że u nas w Europie wożą ich luksusowo samochodami, a tu chodzą piechotą.

Gawędziło się nam sympatycznie acz powoli, bo jak wiadomo najtrudniej rozmawia się po angielsku z Anglikami.

– Teraz właśnie wyjmują, albo już wyjęli film z pańskiego aparatu i oglądają go na słońcu. A zabrali już wszystkie filmy?

– Jakie, na boga, wszystkie?

– Tylko te już eksponowane, nowych nie ruszają. Żal, co? Potem oddadzą paszport i aparat, przeproszą, udzielią rad na przyszłość i zapytają, jak długo szanowny pan zabawi w naszej uroczej okolicy. Zrobimy im małego figła, proszę dać te swoje filmy. Gdy będą o nie pytać trzeba powiedzieć, że wysłał je pan do kraju.

Odetchnąłem, porządny facet z tego Anglika.

– A co pana tu sprowadziło? – zapytałem.

– Jeśli panu powiem, że krajobrazy i klimat, to będzie mnie pan uważał za człowieka niepełna rozumu. Ja zostałem złapany...

– Złapany?

– Na południu Etiopii ludność miejscowa ma niezwykle ciekawy – powiedziałbym psychologiczny – sposób chwytania małp. Bierze się tykwę, taką wysuszoną dynię o wąskiej szyjce i wsypuje do niej trochę grochu, zwanego *szymbra*. Tykwy ustawia się pod drzewami, lub między skałami i przywiązuje. Małpa chcąc wydostać szymbkę, która jest jej przysmakiem, wkłada łapę do tykwy, a zacisnąwszy pięść, nie może jej z powrotem wyciągnąć. Szymbry nie wypuści z garści za żadne skarby, nawet widząc myśliwego, który z łatwością ją łapie.

– Ale co to ma wspólnego z panem?

– Jestem inżynierem budowlanym, płacą mi tu świetnie. W Anglii nigdy bym tyle nie zarobił. Rozumie pan, pieniądze to szymbra. Mam więcej wspólnego z małpą, niż by to Darwinowi przyszło do głowy. Zbudowałem już pocztę, teraz buduję szpital... a i jeszcze podobno trzeba będzie wznieść budynek dla policji – ten jest już trochę zbyt prymitywny.

– O, pan inżynier – przywitał gościa oficer policji. – Wszystko wyjaśnione, co za nieprzyjemne nieporozumienie. Oto aparat i paszport. Filmów oczywiście pan już nie ma? – tu spojrział w stronę inżyniera...

Wieczór spędziliśmy w restauracji „Touring Hotel”. Po którejś butelce mocnego etiopskiego piwa *talla*, inżynier wpadł w nastrój nostalgiczny.

– Szymbra przestała działać, otwieram garść i wyjeżdżam na mą kochaną wyspę. Mały domek wśród szmaragdowej zieleni angielskich łąk, chłód, poranna mgła, no może nie tylko poranna, ale moja – angielska...

Myślę, że siedzi w Etiopii do dziś, może tylko w innej miejscowości.

*
* *
*

Desje, liczące około 60 tysięcy mieszkańców poza tym, że jest ośrodkiem administracji i siedzibą gubernatora prowincji Uello, nie ma obecnie większego znaczenia. Ważne natomiast jest położenie geograficzne miasta. Leży ono na jedynym dostępnym szlaku, zwanym cesarskim, z wybrzeża Morza Czerwonego do Addis Abeby. Podróż autobusem ze stolicy kraju do Asmary trwa trzy dni z noclegami w Desje i Mekelie, a do Assab dwa dni także z przenocowa-



Znaczek wydany w 1968 r. w setną rocznicę śmierci cesarza Teodora II

niem w Desje. Uważa się, że jazda przez góry nocą jest zbyt niebezpieczna. Desje położone na wysokości prawie 3 tysięcy metrów nad poziomem morza, na skraju Wyżu Etiopskiego wyrastającego jak potężna twierdza, jest jakby bramą do jej wnętrza, a więc i stolicy. Jak wykazała historia Etiopii, wrogowie właśnie tędy atakowali najczęściej.

W latach 1855–1868 panował w Etiopii były rozbójnik, czyli szyfta, ale z dobrego arysto-

kratycznego domu – cesarz Tieuodros II, inaczej Teodor. Był to wielkiego formatu władca i wojownik; współcześni mu Europejczycy, którzy podróżowali po Etiopii, porównywali go z Piotrem Wielkim. Twierdzono, że w dziedzinie cywilizacji, wprowadzania osiągnięć ówczesnej techniki, a także sukcesów militarnych, które znacznie powiększyły jego cesarstwo, uczynił tyle dla Etiopii, co Piotr Wielki dla Rosji. Ale był też podobnie apodyktyczny i jak na dawnego rozbójnika przystało – okrutny. Jego dążenie do stworzenia silnej centralnej władzy, do podporządkowania sobie mających dotychczas dużą samodzielność możnowładców, w celu stworzenia na owe czasy nowoczesnego, silnego państwa, absolutnie nie odpowiadało etiopskiej arystokracji, która nie bez powodu obawiała się ograniczenia swych przywilejów. Cesarz był dobrym wodzem, ale nie najlepszym taktykiem w polityce wewnętrznej. Nie potrafił, a może nie chciał, wygrywać jednych podległych sobie władców przeciwko drugim, obce mu były intrygi, zawieranie chwilowych sojuszy. Musiało się więc wcześniej czy później skończyć tym, czym się skończyło – samotną walką cesarza przeciwko wszystkim.

Pierwsi podnieśli bunt przeciw władzy cesarskiej wielcy panowie z prowincji Szeua. W 1859 roku przeciwny reformom cesarskim władca prowincji Tigre – Nygusje, opanowuje całą północną Etiopię. Cesarz dysponujący w owym czasie silną armią, po kilku bitwach, pokonuje go ostatecznie w styczniu 1861 roku. Ale ogień buntu tli się nadal, wybuchając w różnych prowincjach przejawiających coraz silniejsze dążenia separatystyczne. Przeciw cesarzowi występuje również potężny kler etiopski, obawiający się ograniczenia swej władzy. W 1864 roku

cesarz decyduje się uwięzić najwyższego dostojnika kościoła, abunę Selamę. Ogałaca wiele kościołów i klasztorów z cennych manuskryptów, które gromadzi w miejscu uwięzienia abune, w swej rezydencji – twierdzy Mekdela.

Usiłuje też poprzez ambasadora Wielkiej Brytanii na swoim dworze, Camerona, nawiązać przyjazne stosunki z tym krajem. Wysła list do Londynu, kończący się słowami: „A wy staniecie się moją podporą, gdy islam ma zamiar mnie pognębić.” Nie otrzymuje na swój list żadnej odpowiedzi, co tak dumnego władcę musiało mocno zboleć. A właściwie otrzymuje, ale pośrednio: Londyn poleca swemu ambasadorowi opuścić dwór cesarski i przenieść się do Massaua. Wielka Brytania nie jest zainteresowana w zawarciu przyjaznych stosunków i udzielaniu pomocy cesarzowi Teodorowi, wychodząc z założenia, że potężna Etiopia, do czego dąży cesarz, może tylko przeszkodzić Wielkiej Brytanii w jej planach umocnienia swego panowania na wybrzeżu Morza Czerwonego.

Wizerunek cesarza Teodora II



Francuzi właśnie budują Kanał Sueski, co zagraża panowaniu Wielkiej Brytanii w tym rejonie świata, a także nadaje zupełnie nową rangę Morzu Czerwonemu, które staje się najkrótszą drogą do Indii.

Cesarz, dziś już nie wiadomo czy na podstawie rzeczywistych faktów, czy tylko posądzeń, poleca uwięzić Camerona pod zarzutem kontaktowania się z wrogimi Etiopii przywódcami muzułmańskimi u północnych granic kraju. Razem z brytyjskim ambasadorem zostaje uwięzionych około czterdziestu Europejczyków. Jest to dotkliwy cios w prestiż Brytyjczyków, który może znacznie zaszkodzić ich polityce w Afryce Wschodniej. Zapada decyzja „ukarania” cesarza Teodora. 21 listopada 1867 roku w porcie Zeila wyokrętowują się pierwsze oddziały brytyjskiego korpusu „karnego”. W styczniu 1868 roku przybywa do Etiopii jego dowódca – generał Napier. Siły jakie miał do dyspozycji ocenia się na około 40 tysięcy ludzi, uzbrojonych w najnowocześniejszą broń i silną arty-

Wizerunek cesarza Jana IV



lerię. Do Brytyjczyków przyłączają się wrogowie cesarza; Napier obiecuje im dostarczyć broni, a przede wszystkim obalić cesarza Teodora, co pozwala im snuć plany zagarnięcia tronu.

Korpus brytyjski wyrusza w głąb Etiopii „cesarskim traktem” prowadzącym przez Desje. 10 kwietnia cesarz urządza zasadzkę na Brytyjczyków pod Arogie. Ci, uprzedzeni zapewne przez swych miejscowych sojuszników, nie dali się zaskoczyć. Po prostu roznieśli ogniem artylerii wojska przeciwnika. Po stronie Teodora



Cesarz Jan IV i obraz bitwy pod Gurą w 1876 r.

zginęło 700 wojowników, a ponad półtora tysiąca zostało rannych; Brytyjczycy stracili zaledwie dwóch żołnierzy, kilkunastu odniosło rany. Była to pierwsza i ostatnia bitwa. Cesarz wiedząc, że jest zupełnie osamotniony (wszystkie drogi na północ kraju miał już odcięte przez swego śmiertelnego wroga, władczynię Uello) schronił się w swej rezydencji Mekdela, wzniesionej na płaskim szczycie niedostępnej góry, kilkadziesiąt kilometrów na północny zachód od Desje.

W dniu 11 kwietnia uwolnił wszystkich więzionych w twierdzy Europejczyków, a wśród nich Camerona. Miał zapewne naiwną nadzieję, że z chwilą zwolnienia więźniów przestanie istnieć powód wojny. Tak może by postąpili wrogowie, gdyby byli Etiopczykami, ale Brytyjczycy mieli zupełnie inny cel: pozbyć się władcy, którego ambicje mogły im zagrozić i jednocześnie wymierzyć mu taką karę, by stanowiła ona odstraszący przykład dla każdego, kto w Afryce ośmieli się uwięzić Brytyjczyka. 13 kwietnia generał Napier wydaje rozkaz szturmowi na Mekdelę. Była to twierdza, ale tylko w pojęciu Etiopczyków, dla nowoczesnej artylerii był to jedynie kruchy budynek. Cesarz po odesłaniu reszty swych wojsk, pozostał w Mekdeli jedynie z kilku najbliższymi osobami. Widząc, że nie ma już najmniejszej nadziei na ratunek, i nie chcąc wpaść w ręce Brytyjczyków i swych miejscowych nieprzyjaciół, w nocy z 13 na 14 kwietnia 1868 roku, popełnił samobójstwo strzelając sobie z rewolweru w usta.

Brytyjczycy po wejściu do twierdzy, zagrabili niezwykle cenne manuskrypty kościelne zgromadzone przez Teodora oraz znajdującą się przy zwłokach cesarza – widocznie czytał ją przed śmiercią – księgę *Kebra Nagast*, zwaną w Etiopii „Kroniką Królów” (uzasadnia ona prawa do tronu dynastii salomońskiej). Brytyjczycy zwrócili ją po kilku latach cesarzowi Janowi IV, który prosił o jej zwrot uzasadniając to tym, że lud nie chce go słuchać, ponieważ nie posiada *Kebra Nagast*. Manuskrypty z Mekdela powróciły do Etiopii dopiero w 1965 roku, gdy kraj ten odwiedziła królowa brytyjska Elżbieta II, która przekazała je cesarzowi Hajle Sellasje.





Cesarz Menelik II. Pierwszy znaczek etiopski wydany w 1894 r.

Minęło dwadzieścia osiem lat od klęski pod Mekdelą i Europejczycy znowu znaleźli się na terytorium Etiopii. Ale tym razem nie była to już tylko ekspedycja wojskowa z doraźnym celem „ukarania” władcy państwa. Włosi po uprzednim podbiciu obszarów na wybrzeżu Morza Czerwonego, należących niegdyś do królestwa Tigre, w roku 1890 proklamowali powstanie tam kolonii, której nadali nazwę Erytrea. Następnie w roku 1896 wojska włoskie,



po długich i starannych przygotowaniach, wtargnęły do Etiopii z zamiarem podboju całego kraju.

Świeże jeszcze w pamięci druzgocące zwycięstwo generała Napiera nad wojskami cesarza Teodora, pozwalało Włochom przypuszczać, że czeka ich raczej walka z przyrodą, kłopoty z transportem w górzystym terenie, niż spotkanie z zorganizowanym, dobrze walczącym przeciwnikiem. Uważali także, że wzorem

Napiera uda im się pozyskać część Etiopczyków do wystąpienia przeciw panującemu cesarzowi. Ale jednego w swych zaborczych planach Włosi nie uwzględnili, a mianowicie tak istotnego faktu jak ten, że przez te dwadzieścia osiem lat sytuacja wewnętrzna w Etiopii uległa radykalnej zmianie. Teraz na czele państwa stał cesarz Menelik II, wybitny polityk i wódz, rozumjący kategoriami wielkiego, nowoczesnego męża stanu. Etiopia stała się, jak chyba nigdy dotąd, państwem zjednoczonym wokół osoby cesarza. Menelik II, który objął tron po Janie IV, następcy Teodora, potrafił skonsolidować możnowładców i ludy Etiopii do walki w obronie wolności kraju. Jak potężne siły potrafił zgromadzić cesarz, przekonali się Włosi w dniu 2 marca 1896 roku, gdy w bitwie pod Aduą (około 150 km na południe od Asmary) ponieśli straszliwą klęskę. 17 tysięcy doskonale uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzy włoskich poszło w rozsypankę. Armia mająca podbić całą Etiopię,

Cesarz Menelik II na czele zwycięskich wojsk pod Aduą (w 75 rocznicę zwycięstwa)



w ciągu godzin zaledwie przestała istnieć. 11 tysięcy włoskich żołnierzy zostało zabitych i rannych, 4 tysiące dostało się do niewoli. Pochód Europejczyków w Afryce został zatrzymany po raz pierwszy w historii kolonializmu.

Etiopia przez długie lata pozostała jedynym wolnym krajem na kontynencie afrykańskim. Było co prawda w tym czasie jeszcze jedno wolne państwo – Liberia, ale porównanie go z Etiopią wydaje się pozbawione podstaw. Prędzej już można uznać Liberię za swoistą kolonię, tyle że założoną w drodze zakupu ziemi od lud-



Cesarz Menelik II i obraz bitwy pod Aduą w 1896 r.

ności miejscowej przez wyzwolonych Murzynów amerykańskich.

Pozostała więc Etiopia wolna, choć nigdy jej wolność nie przestała być zagrożona, tkwiła bowiem ona jak cień drażniący potęgę i dumę państw kolonialnych. Uważa się powszechnie, że mogła tak długo istnieć jako wolne państwo przede wszystkim dzięki swemu położeniu geograficznemu i dzielności obrońców. Nie umniejszając w niczym odwagi Etiopczyków i ich umi-



Znaczek wydany z okazji 25-lecia proklamowania konstytucji

łowania wolności, godzi się jednak podkreślić również mądrość polityczną jej władców, wspinałe opanowanie przez nich zasad gry politycznej. Dzięki tym właśnie umiejętnościom udawało się nieraz politykom etiopskim zażegnwać narastające niebezpieczeństwo. Bo prób podporządkowania Etiopii było sporo i to zarówno ze strony Włoch jak i głównych państw kolonialnych, to znaczy Wielkiej Brytanii i Francji. W umiejętnym przeciwstawianiu sobie in-

teresów tych trzech wilków, doszła dyplomacja etiopska do perfekcji.

Tymczasem jednak w dalekiej Europie narodziła się nowa, brutalna i okrutna siła. W 1922 roku we Włoszech dochodzi do władzy faszyzm pod przywództwem Benito Mussoliniego, który ogłasza się duce – wodzem narodu włoskiego. Śnią mu się wielkie podboje na skalę dawnego Imperium Rzymskiego i wiekopomna sława Cezara naszych czasów. Na pierwszą ofiarę swej chorobliwej i jak się później okazało straszliwej w skutkach ambicji, upatrzył sobie właśnie Etiopię. „Hańba Aduy musi zostać zmazana!” – wykrzykiwał histerycznie w Rzymie do zgromadzonych tłumów. 4 października 1935 roku rozpoczęto realizację na długo przedtem podjętej decyzji. Tego dnia armia włoska ruszyła ze swych baz w Erytrei i Somali na podbój Etiopii.

Przede wszystkim postanowiono załatwić sprawę „honorową”. Eskadry „La Disperata” i „Testa di Leone” zbombardowały spokojne, po-

Grobowiec rasa Makonnenena





Książę ras Makonnen, który dowodził skrzydłem armii w bitwie pod Adua

grążone we śnie miasto. Jego nazwa – Adua. 170 spalonych domów, kilkaset trupów – przeważnie kobiet i dzieci. Później rozegrał się następny akt dramatu. Adua przechodziła osiem razy z rąk do rąk. 7 października Włosi ostatecznie zdobyli miasto. Był to triumf bardzo mierny, tak jak i cała ta wojna. Triumf samolotów, gazu – iperytu, nowoczesnych dział, karabinów maszynowych, samochodów pancernych i czołgów nad pieszymi i konnymi nawet nie żołnie-

rzami, a wojownikami, uzbrojonymi łącznie, najczęściej w strzelby myśliwskie, włócznie, noże i szable.

Główna kwatera cesarska, skąd kierowano walką na wszystkich frontach, znajdowała się w Desje. Przebywał tu często cesarz Hajle Sellasje, którego ojciec – ras Mekonnyn dowodził skrzydłem armii w zwycięskiej bitwie pod Adua. Echa tej bitwy ożyły w Desje jeszcze raz, gdy przybyli jej weterani, aby złożyć hołd cesarzowi i prosić aby skierował ich na front. Najmłodszy miał lat 65, najstarszy 90. Przeciw Włochom walczył też 500-osobowy konny oddział kobiet uzbrojonych w karabiny i sztylety.

W pierwszych dniach grudnia 1935 roku lotnictwo włoskie uderzyło na Desje. Zbombardowano pałac – siedzibę cesarskiego sztabu głównego i miasto, zniszczono też szpital oznaczony wielkim czerwonym krzyżem. Na takie „drobnostki” lotnicy włoscy nie zwracali uwagi. Jak opowiadają ludzie w Desje, cesarz podobno sam dowodził baterią dział przeciwlotniczych, a w czasie któregoś z kolejnych bombardowań strzelał z karabinu maszynowego. Gdy ze zrujnowanego i spalonego Desje ewakuowano ludność cywilną w góry i zostało tam wyłącznie wojsko, naloty ustały.

Dopiero 14 kwietnia 1936 roku oddziały włoskie wkroczyły do Desje. Brama do Addis Abeby stała otworem. Już tylko 20 dni wystarczyło Włochom na przejście 350 kilometrów i zajęcie stolicy kraju. Wojna się skończyła, ale walka nie ustała. W lipcu oddział partyzancki zdobył lotnisko w Desje, zniszczono kilka samolotów i wybito całą załogę. W sierpniu silny oddział partyzancki uderzył na miasto z gór i zajął je na kilka godzin.

Przez długi czas działała w miejscowości

Gore radiostacja „Wolna Etiopia”, nadająca w języku amhara i francuskim komunikaty o toczonych walce. Powołano także rząd, na którego czele stanął ras Abraham. Siłami zbrojnymi dowodził ras Imru. I choć Włosi głosili, że nie ma już wolnej Etiopii, była ona tam gdzie byli jej obrońcy – na niedostępnych szczytach gór. Partyzanci schodzili z nich nocą, uderzali na najeźdźców i przed świtem wycofywali się do swych baz. Wielokrotnie atakowano linię kolejową Addis Abeba – Dżibuti, wysadzano w powietrze tory i mosty, ostrzeliwano transporty



Mapa Etiopii z Erytreą, dawną kolonią włoską

wroga. W wyniku jednej z najstraszniejszych akcji partyzanckich wybuchł olbrzymi pożar w porcie Massaua. Wyleciały w powietrze zbiorniki z ropą naftową, składy amunicji, całkowicie zostało zniszczone lotnisko, a na nim ponad 50 samolotów. Po porcie i mieście Massaua pozostały jedynie zgliszczka. Włoscy najeźdźcy ani przez chwilę nie czuli się pewnie na podbitej ziemi. Tak było aż do 5 maja 1941 roku, kiedy to wojska

brytyjskie i partyzanci etiopski wkroczyli do Addis Abeby.

Jest w kalendarzu etiopskim dzień świąteczny obchodzony w całym kraju, który mimo nazwy „Święto Męczenników”, nic z religią nie ma wspólnego. Dnia 17 lutego 1937 roku gdy Graziani jako wicekról, wzorem cesarza etiopskich, rozdzielał na jednym z placów w Addis Abebie jałmużnę wśród żebraków, dokonano na niego nieudanego zamachu. Policja i wojsko otworzyły natychmiast ogień do zebranych tłumów. W wyniku tej masakry zginęło ponad 30 tysięcy Etiopczyków. Ale włoskim faszystom to nie wystarczyło, jeszcze przez trzy dni w stolicy i innych miastach trwały masowe mordy na niewinnych ludziach. W tej bezprzykładnie okrutnej akcji odwetowej zginęła większość wykształconej młodzieży etiopskiej. Dlatego właśnie dzień 17 lutego jest obchodzony w Etiopii jako „Święto Męczenników”. Między innymi właśnie za tę zbrodnię, został skazany w 1945 roku były wicekról Rodolfo Graziani. Zwolniony z więzienia w 1950 roku, zmarł w 5 lat później.

Włosi w czasie pięciu lat okupowania Etiopii zbudowali w tym kraju prawie trzy i pół tysiąca kilometrów dróg, w połowie o nawierzchni asfaltowej, kilka elektrowni (w Desje również), nowoczesne osiedla mieszkaniowe – dla siebie, założyli w wielu miastach sieć wodociągów i kanalizacji, rozbudowali sieć łączności. Na inwestycje te wydali około 13 miliardów lirów; zdobycie Etiopii kosztowało ich tylko o miliard mniej. Inwestowali, bo liczyli na ogromne zyski. I doczekaliby się zapewne, gdyby nie klęska militarna.

Inwestycje włoskie, a dokładniej włoscy fachowcy zostali docenieni przez cesarza. Dzięki temu, że nikt ich nie prześladował, a nawet wręcz przeciwnie, szanowano ich za wiedzę

i kwalifikacje, wielu Włochów pozostało w Etiopii i bardzo się temu krajowi przydali. Włosi są do dziś, zwłaszcza w Erytrei, najliczniejszą grupą obcokrajowców. Opanowali prawie całkowicie gastronomię i hotelarstwo, pracują w ciągle nielicznych zakładach przemysłowych, w budownictwie, bankach i handlu. Spotkać ich można w każdym etiopskim mieście.

„KETTAB MAARIE”, CZYLI JAK BYĆ SZCZĘŚLIWYM W TUKULU

Było to przed kilkunastu laty. Zdarzyło mi się wówczas trafić na stację kolejową, której nazwy już nie pamiętam. Gdzieś na linii Asmara – Agordet w prowincji Erytrea. Nie wiem jak tam jest dzisiaj, ale wtedy pociąg jeździł raz w tygodniu. W poniedziałek rano startował z Asmary, aby po przebyciu około 170 km po południu dobić do Agordet, skąd wyruszał rano następnego dnia w powrotną drogę. Oczywiście, jeśli go gdzieś na trasie nie zatrzymała „banda szyftów” – jak to stwierdzały oficjalne władze, czyli secesjonistów erytrejskich – jak było naprawdę.

Stacyjka była schludna, o nieskazitelnie białych ścianach i miała wszystko to, czego wymaga się od stacji kolejowej. Nie było tylko ludzi, nawet śladów po nich. Przypominała do złudzenia te małe stacyjki, które ustawia się przy zabawce – kolejce elektrycznej. Patrząc na budyneczek z małymi okienkami, na zielone płotki, peroniki, semaforiki, na miniaturowe czerwone wagoniki towarowe, wydawało się, że ktoś z figlów zaczął powiększać zabawkę, ale znudzony porzucił zamysł w połowie. Tylko dwie rzeczy miały normalne wymiary, jeśli

nawet nie imponujące. Był to olbrzymi zegar i zajmujący co najmniej jedną czwartą frontonu budynku – rozkład jazdy od razu z cennikiem biletów. Te dwa elementy tak efektownie skomasywane, wywierały pożądane wrażenie – pewności i zaufania. Uwierzyłem, że z tej stacji pociągi nie tylko odchodzą, ale robią to punktualnie. Dokładniejsze jednak przyjrzenie się zegarowi, zasiało we mnie ziarno wątpliwości. Stał on sobie na jakiejś godzinie i przysiągłbym, że zrobił to wtedy, kiedy chciał, i ludzie nic do tego nie mieli.

Był wtorek, godzina ósma rano i pociąg do Asmary miał zgodnie z rozkładem jazdy ruszyć stąd za godzinę. Tory były jednak puste, jeśli nie liczyć dwu zadumanych kóz, które patrzyły gdzieś w góry, w kierunku celu mojej podróży.

Poszukiwania kogoś – jak to sobie wyobrażałem – energicznego, w czerwonej czapce, z lizakami w rękę, nie zdały się na nic. Nie było również kasjera w okularach ani bez, brakowało człowieka w wyszmelcowanej czapce, który chodzi z młotkiem na długim trzonku i dzwoni na kołach wagonów. Nie było nikogo. Zwiedziłem stację dokładnie dzięki temu, że wszystkie drzwi były otwarte, albo też nie było ich w ogóle. Korciło mnie, aby sobie nadać jakąś depeszę ze stacyjnego telegrafu, albo poprzestawić zwrotnice. Nie doszło do tego, bo naraz zjawił się – skąd na boga, nie wiem – po prostu zmaterializował się Gandhi. Przysięgam, autentyczny wielki Hindus – Gandhi. Tak samo chudy i pochylony, ze słynnym dobrotliwym uśmiechem spod druczianych okularów, w takiej samej białej szacie. I jeszcze te kozy na torach. Przecież Gandhi żywił się jedynie mlekiem kozy. Tropikalne halucynacje, „Gandhi” uśmiechnął się i cicho zaszemrał:

– Jestem naczelnikiem stacji, czym mogę panu służyć?

– Pociągiem – jeśli pan łaskaw. W moich intencjach leży udanie się przy pomocy kolei, którą pan reprezentuje, do Asmary.

– O, bardzo źle, bardzo źle. Pociąg już odszedł. Nie ma pociągu, ale będzie, na pewno będzie.

– Jak to odszedł, przecież rozkład jazd...

Gest rezygnacji i zwątpienia.

– Jest stacja, musi być rozkład. Ale te całe rozkłady to tylko marnotrawstwo pieniędzy. Kto to słyszał, żeby pociąg mógł odjechać pusty, bo coś tam napisano na niemądrej tablicy. Pociąg jedzie wtedy, kiedy są pasażerowie. I właśnie byli wczoraj.

– Wczoraj? Przecież dziś jest wtorek.

– Pan jest już trzecim pasażerem, a zupełnie niespodziewanie może być trzydziestu, czterdziestu... Proszę o trochę cierpliwości. Może kawy?

Śmieszna historia, przestało mi się śpieszyć – zupełnie... Kawy? Z chęcią.

Dlaczego przypomniało mi się to zupełnie błahe wydarzenie? Dlaczego tak dobrze je zapamiętałem?

Jest jeszcze na kuli ziemskiej sporo takich Krajin Stojących Zegarów. Nieważny tam jest czas, tempo, organizacja, życie płynie powoli, odmierzane nie zegarem i kalendarzem, a porami deszczu i suszy, zbiorów i głodnych przedników. Krainy, gdzie stosunki społeczne nie uległy zmianie od setek lat, a może i tysięcy. Taką krainą była Etiopia.

Jeśli w stolicy czy w miastach można było mieć złudzenia, że jest się w kraju w miarę współczesnym, to prowincja etiopska złudzenia te rozwiewała natychmiast. A w miastach

żyło przecież zaledwie około 7 procent ludności, może zresztą i więcej, bo głód pędził tam tysiące rodzin chłopskich mających nadzieje na zdobycie pracy. Reszta Etiopczyków żyła z uprawy roli i hodowli. Dla nich, aż do rewolucji czas zatrzymał się we wczesnym średniowieczu. Żyli tak samo, jak ich najbardziej odlegli już nie w pamięci, a w czasie przodkowie. Żaden zegar nie odliczał godzin ich życia, nic nie oddalał i nic nie przybliżał. Nie liczyli czasu nie z wielkiego szczęścia, ale z niewyobrażalnej wprost nędzy. Ich życie płynęło monotonicznie wśród codziennych trosk, znaczone narodzinami i zgonami, porami siania i zbierania. Słońce odmierzalo czas spania i wstawania, dyktowało tempo ich życia. Dlatego właśnie, gdy znalazłem się wśród etiopskich rolników, przypomniała mi się ta stacyjka, jej śmieszny zawiadowca i zegar pokazujący zawsze tę samą godzinę.

*

* *

Drogi wychodzące z Desje, nie licząc asfaltowej szosy, natychmiast zaczynają wspinać się w górę. Im dalej od miasta, tym stają się węższe i bardziej strome, póki nie trafią na doliny i nie zgubią się wśród uprawnych pól. Nie ma drogi, która by prowadziła do wsi, bo i nie ma tu nic takiego. Zagrody wiejskie, zwane *tukul*, stoją z dala jedna od drugiej. Każda rodzina mieszka na uprawianym przez siebie polu.

Jedną z takich dróg wyruszyłem rano, tuż po wschodzie słońca. Celem wyprawy było jezioro Haik, leżące w odległości około trzydziestu kilometrów. Można tam było dotrzeć prawie na miejsce szosą Desje – Asmara, ale postanowiłem iść tym razem pieszo na skróty. Chciałem zobaczyć jak żyje i pracuje etiopski wieśniak. Około południa byłem już solidnie zmęczony, chciało

mi się pić i jeść. Skręciłem między łanami pszenicy i kukurydzy do najbliższego, trochę za-
możniejszego z wyglądu tukulu. Była to nie-
wielka gliniana chata pokryta dachem z liści
bananowca i otoczona wysokim murem z ka-
mieni i gliny. Przepchnąłem się przez ciasne
wejście i znalazłem się na małym podwóreczku.
Przed izbą siedziała na ławce z dwóch kamieni
i gałęzi kobieta, mieszająca coś w wielkiej misie.
Chrząknąłem wytwornie, a gdy spojrzała na
mnie pokazałem jej gestem, że chce mi się pić,
rozdziawiając przy tym gębę, aby nie miała żad-
nych wątpliwości. Nie wiem jak to wszystko
zrozumiała, ale najpierw ją wyraźnie sparali-
żowało, bo zamarła w bezruchu z wytrzeszczo-
nymi na mnie oczyma, a po chwili niezwykle
się uaktywniła. Wrzasnęła przeraźliwie, nagle
pojawiło się pod jej pachą wierzgające dziecko,
nawet nie wiem skąd się tam ono wzięło, miska
znalazła się na ziemi, a w moment później pod-
wórko było puste. Stałem oniemiały nie bardzo
wiedząc co dalej robić. Odejść? Czekać? Z cha-
łupy rozległy się krzyki kobiety, którym zawtó-
rował płacz dziecka i głos męski wyraźnie ner-
wowo o coś wypytyjący. Najspokojniejszy był
pies; duże żółte psisko wyszło gdzieś zza muru,
podeszło do moich nóg, obwąchało je starannie
i usiadło spokojnie jakby czekając na dalszy
rozwój wydarzeń.

W tej samej chwili płachta, którą zasłonięte
było wejście zafalowała lekko i w szparze uka-
zała się dłoń ściskająca sierp, który złowrogo
zaśnił w słońcu. Nie powiem, żebym przyjął
ten widok z całkowitym spokojem. „Tylko lu-
dzie pozbawieni wyobraźni nie znają uczucia
strachu” – pomyślałem na swoje usprawiedli-
wienie. Czy ja wiem zresztą, co ja wtedy myśla-
łem – miałem pietra i tyle. Za sierpem wyłonił

się zza zasłony mężczyzna. Niewysoki, chudy
jak szczapa, ale żyłasty. Jakby ciachnął tym
swoim narzędziem... Powtórzyłem drżącą ręką
gest picia wody, uśmiechając się tak przyjaźnie,
że już nie można bardziej. Z twarzą gospodarza
zaczęło się dziać coś niedobrego. Jakoś
dziwnie mu się wykrzywiła; usta zacisnęły się
aż do zniknięcia warg, oczy wyszły z orbit,
a policzki wyduły się jakby dmuchał w ogromną
trąbę. Nic, tylko facet wpadł w szał. Nagle
mężczyzna podskoczył raz, drugi i gruchnął
takim śmiechem, że aż się zatoczył. Zaczął
przykucać, klepać się po kolanach, w czym mu
przeszkadzał sierp, więc cisnął go na ziemię.
Zaraz też pojawiła się kobieta, a przy jej spódnicy
dziecko. Coś do niej wykrztusił, a było to wi-
docznie bardzo zabawne, bo śmiech męża na-
tychmiast się jej udzielił. Pies zachwycony we-
sołą zabawą, ganiał dokoła poszczekując z ra-
dosnym skomleniem na zmianę, a dzieciak już
nie palec, ale całą dłoń wsadził sobie do ust
i patrzył z ogłupiałym zdziwieniem na tę scenę.
Podobną minę miałem na pewno i ja. Wreszcie
gospodarze nieco uspokoili się i mężczyzna coś
do mnie zagadał. To ja znów manipuluję rękami
przy ustach i brzuchu, że niby mi się chce okrut-
nie pić, a tak naprawdę to odechciało mi się
zupełnie. Trafiło. Poproszono mnie do wnętrza.

Wszedłem przez niski otwór, który speł-
niał podwójną rolę: drzwi i okna. W środku
panował półmrok i przez chwilę niewiele wi-
działem. Wreszcie kontury zaczęły przyjmować
kształt przedmiotów. Całe umeblowanie izby
składało się z ławy i dwu tapczanów, zwanych
alga. Jest to drewniana rama, do której przybite
są plecione z jakiejś rośliny lub skórzane pasy.
Umieszcza się taką ramę na czterech kołkach
wbitych w glinianą podłogę i łoże gotowe. Gliną

na gładko wylepione były również bielone ściany. Na tapczanach leżały kozie i owcze skóry, a na ścianach... To wymaga dokładniejszego opisu. No więc na głównym miejscu wisiał niezwykle barwny obrazek, przedstawiający cesarza z małżonką. Cesarz, w wojskowym mundurze z kilkoma piętami orderów na niezbyt szerokiej piersi, w potężnym kasku z jeszcze potężniejszym białym pióropuszem, spoglądał dobrotliwie acz z niebotyczną godnością na każdego, kto zatrzymał wzrok na jego wizerunku. Wprost jakby spoglądał na to, co się w izbie dzieje. Cesarzowa Menen, odziana w narodowy strój kobiet amharskich, z lekką korektą na korzyść mody europejskiej, patrzyła raczej w niebo. Obydwoje stali na podwyższeniu, a za nimi widać było suto złożone fotele, to jest – trony. Pod spodem był napis w języku amhara i angielskim: „Their Imperial Majesties, Emperor Hajle Sellasje I and Empress Menen”. Nie widziałem wtedy ani jednego wnętrza urzędowego czy prywatnego w Etiopii, gdzie nie wisiał taki lub podobny obrazek. Wszystkie one zresztą pochodziły z drukarni, która była własnością cesarza. Na ścianie przeciwnej widniała także kolorowa reprodukcja przedstawiająca św. Jerzego o bardzo ciemnym obliczu pastwiącego się nad smokiem. Św. Jerzy, w języku amhara *Gijorgis*, jest patronem Etiopii i nie ma konkurencji wśród świętych. Było jeszcze kilka „ikonowatych” obrazków, ze świętymi o brunatnych, ciemnych twarzach. Jeden z nich zwrócił moją szczególną uwagę. Był to wizerunek jakiegoś świętego, który ogania się od diabła. Diabeł miał rogi, ogon, kopyta, buchał mu z paszczy czerwony ogień i w ogóle przedstawiony był jak żywy. Różnił się tylko drobnymi szczegółami od swych braci z naszych obrazków.

Miał brodę i był bardzo biały! Teraz zrozumiałem wszystko. Ta kobieta, gdy nagle zobaczyła mnie – białego z brodą, machającego rękoma i rozdziawiającego gębę – pomyślała ani chybi, że to diabeł zjawił się na jej podwórku i trzeba było dopiero widocznie bardziej bywałego w świecie mężczyzny, abym został rozpoznany jako człowiek, tyle że Europejczyk.

Po chwili siedziałem już na alga i piłem świetną zimną wodę, a dziecko z oślinioną buzią, mlaskając ssało wedlowskiego cukierka. „Gawędziliśmy” sobie na migi przy pomocy kilku amharskich słów, których się nauczyłem. Gdy wydukałem: *enie hid Haik*, co znaczy: ja iść Haik, byli wprost zachwyceni i na zmiany powtarzali z pięć minut: Haik, Haik – pokazując przy tym na mnie i przebierając dwoma palcami, niby że na piechotę. Słowo: *Poland* także po amharsku Polska, nic im nie mówiło, nie słyszeli o czymś takim.

Gdy zacząłem zbierać się do wyruszenia w drogę, gwałtownie zaczęli oponować pokazując, że trzeba coś zjeść. Kobieta wybiegła z izby i za chwilę wróciła z miską, którą tak nagle porzuciła. W drugiej izdebce było ulepione z gliny palenisko, na którym zaczęła przyrządzać znane mi już placko-naleśniki *yndżera* z tiefu – rośliny uprawnej, u nas występującej jako chwast zwany ognicą. Yndżera jest tym dla Etiopczyka, czym chleb i ziemniaki dla nas. W drugim pomieszczeniu stały dwa, wielkie jak beczki, gliniane dzbany z wodą, a na ścianach wisiały jakieś skóry, uprząż na muła i bukłaki do wody z kozich skór. Z tego mniejszego pomieszczenia wychodziło się na mikroskopijne podwórko, między ścianą chaty a murem. Tam było jeszcze jedno palenisko, kilkanaście gdaczących kur i kupka gałęzi na opał.

Zasiedliśmy do jedzenia. Każdy otrzymał yndżerę i odrywając z placka po kawałku, maczał go w brunatnym sosie. Gdybym nie próbował już sosu *uot*, spaliłoby mnie pewnie w środku natychmiast. Sos ten ma następujące składniki: pieprz zwany *berberie* i stare masło. Widywałem też w nim czasem jakieś drobne ziarenka w smaku przypominające siemię lniane, bywa też z mięsem i jajkami na twardo. Wyda się to dziwne, ale z dużą ostrożnością można to jeść i jest nawet niezłe w smaku. Później piliśmy kawę chyba z miodem, albo z czymś podobnym. Kawa byłaby nawet dobra, gdyby jej nie... posolono.

Przy pożegnaniu popełniłem błąd – chciałem zapłacić, co gospodarze przyjęli bardzo, ale to bardzo niedobrze. Byli tak wyraźnie oburzeni i dotknięci, że zrobiło mi się niesłychanie głupio. Jakoś tam w końcu się ułagodziło i garść cukierków, które dałem dziecku przyjęli już bez wahania, gorąco dziękując. Tak skończyła się „diabelska” wizyta w chacie chłopca z prowincji Uello.

Wyżej w górach trafiłem do małego klasztoru. Klasztor to może zbyt wiele powiedziane, było to raczej coś jak pustelnia, tyle że kilkuosobowa. Przy małej kaplicy z kamieni z pięknym krzyżem na szczycie, stała zbudowana również ze złomów skalnych niewielka chata, stanowiąca przedłużenie groty. Tu żyli mnisi, z których jeden – najmłodszy, znał trochę włoski i angielski. Wśród mnichów przebywał chwilowo, gdzieś wędrujący *deptera*. *Deptera*, czyli „uczeni w piśmie” są praktycznie duchownymi, ale pozostają poza oficjalną hierarchią kościelną. Nauczają oni podobno wiernych m.in. takich ciekawych teorii jak ta, że Ziemia jest płaska jak placek yndżery, a Słońce kręci się dokoła niej, oraz że w roku 2508, to znaczy gdy będzie

zaczynać się ósme tysiąclecie (na tyle szacują wiek Ziemi), ten placek przewróci się na drugą stronę i wszyscy żywi staną się martwymi, a martwi ożyją. Przede wszystkim jednak śpiewają w kościołach jako kantorzy, a etiopski śpiew liturgiczny jest niezmiernie trudną i zawiłą sztuką. Zajmuje on w nabożeństwach miejsce bardzo ważne.

Ponadto specjalizują się w leczeniu czarami, odczynianiu uroków oraz wykonywaniu talizmanów, czyli amuletów. I ta właśnie działalność zapewnia im, jak na etiopskie warunki, zupełnie znośne życie. Bowiem wiara w czary, zauroczenia jest w Etiopii powszechna, a ilość zabobonów ogromna. Przestach wieśniaczki wywołany moim pojawieniem był tym bardziej uzasadniony, że dziecko jej miało na szyi przy krzyżyku od chrztu pięćdziesiąt niebieskich koralików, co ogranicza możliwość zbliżenia się szatana do tyłuż kroków i ani jednego więcej. A kępka włosów, którą pozostawiono chłopakowi na czubku głowy, miała ułatwić Bogu wciągnięcie go do nieba.

Etiopczycy wierzą głęboko, że nie umiera się ze starości, tylko zawsze od choroby spowodowanej rzuconym urokiem. Nic więc dziwnego, że talizmany są rzeczą szczególnie pożądaną. Istnieją ich dwa rodzaje. Pierwszy bardziej powszechny, bo łatwiej dostępny ze względu na swą niską cenę, chroni posiadacza przed czymś wyraźnie określonym. A więc na przykład przed taką a nie inną chorobą. Są też talizmany gwarantujące pozyskanie serca ukochanej, która nie odwzajemnia uczucia. Każdy taki talizman, jest zwykle zwitkiem pergaminu lub papieru ufarbowanego na jakiś kolor z napisanymi znakami kabalistycznymi, działa wyłącznie w przypadku, dla którego został zakupiony.

Drugi rodzaj talizmanów zwany „*Kettab Maarie*”, jest absolutnie uniwersalny, chroni przed najzjadliwszymi urokami. Jego szczęśliwy posiadacz może owszem zachorować, czy nawet umrzeć, lub nie uda mu się rozkochać w sobie pożądanej kobiety, ale tylko w jednym przypadku: jeśli choć przez najkrótszą chwilę przestanie wierzyć w moc swojego amuletu. Dlatego właśnie amulet nawet tak wszechstronny jak „*Kettab Maarie*”, jest dla Europejczyka niesety, zupełnie nie przydatny. Mówię – niestety, bo bardzo zapaliłem się do kupna takiego talizmanu, ale depta za pomocą takiego właśnie argumentu odrzucił moją atrakcyjną propozycję. „*Kettab Maarie*” jest wąskim, ale długim paskiem pergaminu (długość musi odpowiadać wzrostowi nabywcy), na górze wymalowany jest czerwonym tuszem krzyż i wizerunki – bardzo nieporadne – dwóch świętych. Pod nim rząd znaków kabalistycznych, kół i trójkątów powpisywanych w siebie w różnych kombinacjach i wielkościach, koloru czerwonego i czarnego. W dalszej części pergaminu wypisane są słowa: „*Tsulilil, Hidezar, Lamad, Uolaghid, Haiul, Felil, Tsulil, Rokobos, Artsahos*”. Gdy już zapisałem co mi podyktowano, spytałem co to znaczy. No, więc podobno nie są to słowa z żadnego języka, mają znaczenie takie same jak trójkąty i koła – magiczne. Pokazali mi jeszcze braciszku wspianą książkę religijną pięknie iluminowaną, w cudownej oprawie, pisaną prastarym językiem liturgicznym, gyyz. Przypominała ta księga nasze średnio-wieczne manuskrypty klasztorne.

Kościół etiopski popularnie nazywa się koptyjskim. Nie jest to określenie zbyt precyzyjne, bo choć Ortodoksyjny Kościół Etiopski ma wiele wspólnego z chrześcijanami egipskimi – kop-

tami, jest w sensie organizacyjnym – kościołem samodzielnym od roku 1959. Wtedy to abuna Basilios (Etiopczyk) uzyskał godność metropolity, co oznaczało uniezależnienie się od patronatu głowy kościoła koptyjskiego w Aleksandrii.

Kościół ten ma prastare tradycje. W Etiopii przyjęto wiarę chrześcijańską już w IV wieku i broniono jej skutecznie przed zalewem islamu nawet wtedy, gdy zdołał on wedrzeć się do Europy. Etiopia zwana „dachem Afryki” albo „górkim bastionem” rzeczywiście takim bastionem w morzu pogan i muzułman była. Ale też poniosła wszystkie konsekwencje wynikające z tej długiej izolacji, zarówno w sensie prastarego modelu religijnego jak i społecznego. Kościół koptyjski jak żaden z innych odłamów chrześcijaństwa, zbliżony jest w swej doktrynie i rytuale do najwcześniejszych form chrześcijaństwa, przez co też praktykuje się tu niektóre obrzędy wspólne z judaizmem, jak na przykład obrzezanie chłopców, czy zakaz spożywania wieprzowiny. W niektórych regionach kraju święcona jest sobota, a nie niedziela. Podbijane



ludy wyznające tzw. animizm wniosły także wiele ze swoich obrzędów.

Nazwa do niedawna panującego ludu w Etiopii *Amhara* – znaczy w języku hebrajskim – góral. Są to prawdopodobnie potomkowie plemienia Sabejczyków, którzy przybyli do Etiopii z Półwyspu Arabskiego i stworzyli potężne królestwo Aksum, z którego powstała dzisiejsza Etiopia. To właśnie Aksumici przyjęli chrześcijaństwo. Najważniejszą księgą Etiopczyków obok biblii jest *Kebra Nagast*, czyli tzw. Kronika Królów, powstała w XIV wieku. Tu właśnie znajdujemy mit o pochodzeniu cesarzy etiopskich wprost od króla Salomona i królowej Saby (czyli władczyni Sabejczyków imieniem Makeda). Tym pierwszym władcą miał być syn poczęty z tego związku – Menelik I. Sprawy wiary – kościoła ze sprawami władzy – cesarza są w *Kebra Nagast* ściśle związane. I tak było w całej historii Etiopii, kościół zawsze stał na stanowisku niepodważalności władzy cesarskiej, uznając władcę za osobę świętą. A cesarze jak

Królowa Saba, legendarna założycielka rodu władców Etiopii



mogli tak się rewanżowali, aż doszło do tego, że kościół stał się największym posiadaczem ziemskim. Prawie jedna trzecia uprawnych ziem tego kraju była w posiadaniu kleru.

Ziemię tę dzierżawiło się chłopom. Dzierżawcy (tylko około 10 procent uprawnej ziemi posiadali drobni rolnicy na własność) oddawali właścicielowi ziemi ponad połowę zbiorów, nie licząc różnych innych świadczeń. Gospodarstwa były małe, rzadko ponad 3 hektary, a metody uprawy i narzędzia niezwykle prymitywne. Socha drewniana, sierp lub nóż. Młócka i dziś jeszcze odbywa się przez przepędzanie bydła; nawożenie jest nieznaną; gdy ziemia przestaje rodzić, zostawia się ją na kilka lat odłogiem. Prymitywnie hoduje się też bydło, a dokładniej rzecz ujmując, w ogóle się nie hoduje, zwierzęta przebywają okrągły rok na powietrzu zdane na własne siły i pozostawione na pastwę chorób epidemicznych, których ogniska nie wygasają nigdy.

Chłop etiopski żył na pograniczu głodu. Poeciechą służył mu kościół, żądający od wiernych 200 dni postu w roku (jeden posiłek dziennie, żadnego mięsa i tłuszczów), czego bez trudu i pokus mogli dotrzymywać, unikając grzechu. Rolnik nie był zainteresowany w zwiększaniu produkcji, bo doświadczenie wielu pokoleń nauczyło go, że to się zupełnie nie opłaca, gdyż i tak będzie musiał oddać to, co więcej zdoła swoją pracą wydrzeć ziemi. Kościół był największym, ale oczywiście nie jedynym posiadaczem ziemskim. Cesarze w łasce swojej nadawali ziemię swym lennikom i wasalom, różnym królom – czyli nygusom, książętom – czyli rasom i innym arystokratom, którzy dzielnością w walce, sprytem w polityce albo wprost służalstwem na dworze „wysługiwali” sobie na-

dania. Również i cesarz Hajle Sellasje ponadawał sporo ziemi różnym generałom strzegącym jego bezpieczeństwa albo już w zupełnie współczesnym stylu – zachodnim koncernom i mniejszym firmom (oczywiście za opłatą) jak np. Anglo-Etiopskiemu Towarzystwu Tendaho Plantations, uprawiającemu bawełnę w dolinie tajemniczej rzeki Danakilów – Auasz.

*

* *

Dopiero następnego dnia rano po przenocowaniu w klasztorze dotarłem do doliny, w której rozpościerało się otoczone zielenią traw i gęstwiną rosnących kępami kaktusów, błękitne jezioro Haik. Na środku jeziora zieleniła się wysepka, na której znajduje się zabytkowy klasztor św. Stefana, wymieniany łącznie z jeziorem we wszystkich (zresztą nielicznych) przewodnikach po Etiopii. Na wycieczkę do klasztoru nie było już czasu, wykąpałem się tylko, ku ucieście gromady dzieciaków, które pewnie jeszcze w życiu nie widziały takiej białej skóry. Choć dla pełnej informacji stwierdzić trzeba, że to brunatni Amharowie uważają się za białych, natomiast my – Europejczycy jesteśmy według nich różowi jak świnki. Orzeźwiony kąpielą dziarsko pomaszerowałem w kierunku szosy, gdzie lada chwila powinien nadjechać autobus do Asmary. Jest to chyba jedyne miasto w Etiopii, które na tę nazwę naprawdę zasługuje. Dość powiedzieć, że stolica kraju Addis Abeba zwana jest powszechnie „wielką wsią”. Natomiast Asmara – stolica prowincji Erytrea, zaliczana jest do najładniejszych miast w tym rejonie Afryki. I pewnie właśnie dlatego niczym specjalnym nie różni się od tysięcy innych miast na świecie. Ot, ładne miasto bez żadnych osobliwości, które warte by były opisanie. Na uwagę

zasługuje jedynie amerykańska baza wojskowa Kagnew, znajdująca się tuż pod miastem. Stanowi ona część składową amerykańskiego systemu pięciu baz strategicznych, do których należą: baza na Filipinach, Hawajach, w San Francisco i w stanie Maryland. Na nich właśnie opiera się amerykański system globalnej łączności satelitarnej, radiowej i radarowej. Załogę bazy Kagnew ocenia się na 3.500 ludzi. Gdy prezydent Stanów Zjednoczonych udaje się z wizytą na inny kontynent, właśnie Kagnew utrzymuje z nim stałą łączność. Dzieje się tak dzięki temu, że baza ta położona w pobliżu równika zapewnia najlepsze warunki słyszalności. Jest ona również niejako centralą łączności dla wszystkich baz wojskowych USA, znajdujących się poza granicami tego kraju. Meldunki z tych baz przekazywane są najpierw do Kagnew, a dopiero stąd do Waszyngtonu. Spełnia również bardzo ważną rolę w zakresie łączności satelitarnej, stąd bowiem utrzymywana jest łączność z satelitami i amerykańskimi statkami kosmicznymi. Za jej pośrednictwem kieruje się manewrem wodowania tych statków. Nie trzeba chyba dodawać, że posiadanie takiej bazy jest dla USA sprawą dużej wagi, również i ze względu na zupełnie „ziemskie” jej znaczenie, a więc sam fakt amerykańskiej obecności w Etiopii.

JOHN SMITH PRZYJECHAŁ ZA WCZEŚNIE

Dwie pustynie: piaszczysta i wodna, i granica między nimi – piasek obmywany morską wodą, brzeg. Spotkanie trzech barw, zieleni morza z żółtością piasku i błękitem nieba. Hen, daleko na horyzoncie morze i niebo stapiają

się w jedność i nawet nie wiadomo, który kolor zwycięża tak idealnie mieszają się z sobą. Nie ma tu tej intensywności, soczystości barw jak u nas w Europie, wszystko jest jakby spłowiałe, wytrawione żarem słońca.

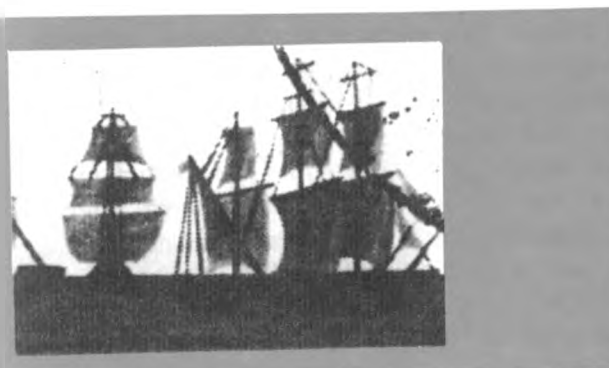
Brnę przez piaszczyste wzgórza, by dojść do morza. Upał się wzmagą. Pot ścieka z czoła, płynie strużką po plecach. Koszula przykleja się do ciała. Jest odpływ. Na głęboką wodę trzeba wędrować płyciznami około kilometra. Kładę się w płytkiej wodzie, ledwo, ledwo kryjącej rozgrzane ciało. Woda ma pewnie po-



Cesarz Kaleb 520 r.

nad 30 stopni, ale jest jednak chłodniejsza od rozpalonego słońcem powietrza. Nad brzegiem, usianym kamieniami i dalej nad widocznymi wśród palm białymi domami Massaua, drga rozgrzane powietrze. Leżę wygodnie rozciągnięty na piaszczystym dnie, z lekko uniesioną głową. Obok kołysze się w takt niewidocznych ruchów wody, cudownie ubarwiona kolonia ukwiałów. Od dołu bladezielona przechodzi stopniowo w czerwień, a delikatne ramiona mają barwę świeżego wrzosu. Z leżącej pod

ukwiałem muszli, porzuconej przez jakiegoś mięczaka wyglądają czułki skrytego w niej raka pustelnika. Oto przykład idealnej symbiozy: ukwiał chroni raka przed wrogiem swymi parzącymi ramionami, a w zamian żywi się resztkami jego pożywienia. Przysuwam się bliżej, aby dokładniej przyjrzeć się temu współżyciu. Naraz, pod wpartą w dno dłonią czuję jakies poruszenie... Zrywam się na równe nogi. Z miejsca gdzie przed momentem trzymałem rękę wyskakuje jakiś płaski stwór, z długim cienkim ogonem. Raja! Ale miałem szczęście! Gdyby



mnie tak uderzyła użądlnym ogonem, pewnie już bym nie zażywał więcej kąpieli, a w najlepszym wypadku przypląciłbym to ciężką chorobą. Tymczasem raja nie śpiesząc się, odpłynęła za ukwiał. Ostrożnie, bardzo ostrożnie, krok za krokiem wychodzę na brzeg.

Małeńki półwysep, a na nim kopiec ze złomów raf koralowych, obok jakby wyrzucona przez morze kłoda drewna. I smużka dymu, prawie niewidoczna, pionowa. Pewnie zapaliły się od jakiejś rozbitej, wyrzuconej przez morze

butelki, wyschnięte rośliny morskie. Postanowiłem tu poszukać ładnych muszli, taki jest bowiem cel mojej wędrówki.

Kopiec z raf nie jest kopcem, tylko domem, kłoda drewna nie jest kłoda, tylko łodzią, nie szkło zapaliło kępę roślin, a płonie mały ogienek zapalony też może szkłem, ale przez ludzi. Nad ognikiem pochylony chudy, ciemnoskóry człowiek o gęstych, pokręconych, jakby przysypanych solą, siwiejących włosach. Gdy podchodzę bliżej, z „chaty” wyczołguje się przez mały otwór kobieta, a za nią dziecko. Rodzina rybaków.

Salam – mówię i przykładam dłoń do czoła, a później tam gdzie serce. *Salam* – odpowiada mężczyzna. Kucam przy ogniu, nad którym piecze się na patyku ryba. Milczymy. Przegrada nas bariera języka i jeszcze jedna bariera, tak olbrzymia jak olbrzymia jest różnica między jego łodzią – *huri* – pnem palmowym z wydłubanym otworem, a nowoczesnymi statkami stojącymi w porcie, dobrze stąd widocznym.

Nikt nie wie, kiedy człowiek po raz pierwszy odważył się opuścić ląd. Natomiast jedno jest chyba pewne, że zrobił to, kładąc się na pniu drzewa i wiosłując rękoma. Następny etap rozwoju żeglugi w dziejach ludzkości, to była właśnie taka łódź jak ta – pień, w którym jakiś śmiałek kamienną siekierą wydłubał miejsce dla siebie.

Częstuję mężczyznę papierosem. Pali, zaciąga się; kobieta z wyraźnym zainteresowaniem ogląda siatkę, którą wziąłem ze sobą na muszle. Taką samą jak te, w których miliony Polek noszą zakupy. Nad nami, na bladobłękitnym niebie srebrny odrzutowiec...

Siadam do łódki, odpycham się kijem od rafy i natychmiast znajduję się w wodzie. Zapomnia-

łem, jak posługiwał się nią mój przodek, najodleglejszy w czasie z odległych.

★

★ ★

Przypomniało mi to inne spotkanie. Nazywał się John Smith. Kiedy go poznałem, zastanawiał się właśnie nad tym, jak z muszli skorupiaków robić guziki i czy w Morzu Czerwonym można wyhodować sztuczne perły. Ale próby zastosowania wynalazku japońskiego profesora na przybrzeżnych, pełnych raf, wodach, były tylko marginesem jego właściwej działalności.



Suszenie ryb po połowie

John Smith był specjalistą – ichtiologiem, a dokładniej człowiekiem, który miał powiedzieć na jakich łodziach, przy pomocy jakich sieci, gdzie, w jaki sposób i jakie łowić ryby. John Smith był bowiem pracownikiem FAO (Food and Agricultural Organization) – Organizacji do Spraw Wyżywienia i Rolnictwa, jednej z agencji ONZ, której zadaniem jest rozwój gospodarki rolnej i podniesienie poziomu wyżywienia na świecie. A ponieważ z tym wyżywieniem w Etiopii nie jest dobrze, więc „latającemu”

instruktorowi Johnowi Smithowi kazano wsiąść w Nowej Gwinei – gdzie ostatnio pracował – w samolot i lecieć do Etiopii.

Rybołówstwo „leżało tu odłogiem”, jeśli nie liczyć ludzi, którzy łowili w łódkach wydrążonych z jednego pnia, za pomocą prymitywnych sieci, splecionych z palmowego łyka. Specjalista z FAO – Australijczyk John Smith przystąpił do pracy. Na początek dostał od rządu do dyspozycji motorówkę i dwóch ludzi. Przy pomocy tych środków i swojej wiedzy miał otworzyć Etiopii Morze Czerwone. Pływał, badał, notował i słał do dalekiego Rzymu – siedziby FAO – raporty. Niewesołe to były sprawozdania. Aby rozruszać rybołówstwo, trzeba było wielu milionów dolarów na zakup kutrów, sieci i wyszkolenie rybaków. Były też trudności rynkowe. Ryby, zdaniem Johna Smitha, najlepsze do jedzenia, o największej zawartości fosforu, bajecznym białku itp. Etiopczykom jakoś „smakowo nie odpowiadały”. Tak przynajmniej argumentowały swój brak zainteresowania dla pracy

Łódź na jeziorze Tana



Smitha miejscowe czynniki oficjalne. Zdaje się, że na tym Smith się potknął i stracił zapal do swej pracy. W czasie naszej znajomości potrafił mówić już tylko o guzikach; o wielkich fabrykach, które zarzucą cały świat guzikami z muszli.

Czy mu się powiodło? Nie wiem. Ale nie słyszałem będąc kilka lat później w Massaua, ani o Johnie Smith, ani o perłach, ani o guzikach. A rybacy jak dawniej wypływali w swych czółnach na połów.

Fantasta, marzyciel? Może, ale na pewno



Znaczek wydany w 1967 r z okazji 50-lecia linii kolejowej⁷ Dżibuti-Addis Abeba

człowiek wielkiej wiedzy i dobrych chęci. Po prostu za wcześnie przyjechał do Etiopii. W tym czasie władca tego kraju miał inne zmartwienia, niż wydawanie milionów na rybołówstwo. Nie interesowało go, czy obywatele są głodni, mieli być zdyscyplinowani.

★

★ ★

Wszystko co Etiopia kupuje i sprzedaje musi przejść przez trzy czerwonomorskie porty: Mas-



Port Massaua w Erytrei. Na znaczku widać symboliczny łańcuch, broniący dostępu do portu, zerwany po przyłączeniu Erytrei do Etiopii w 1952 r.

saua, Assab i Dżibuti. Ten ostatni leży poza granicami państwa na Francuskim Terytorium Afarów i Isów i połączony jest z Addis Abebą wąskotorową linią kolejową. Siedemset kilometrów linii, wdrapującej się z poziomu morza na wysokość prawie dwóch i pół tysiąca metrów, budowali Francuzi od roku 1897 do 1916, a więc prawie dwadzieścia lat. Robotnicy układający szyny musieli pokonać nie tylko stopnie Wyżu

Etiopskiego, ale i okrutny skwar pustyni, brak wody, a przede wszystkim musieli bronić się przed atakami dzikich plemion koczowniczych Isów, Somalijszyków i Danakilów. Dla wodzów tych plemion kolej była poważną konkurencją, pozbawiała ich bowiem haraczu, jaki opłacały im karawany. Poza tym szyny kolejowe to żelazo, a żelazo to noże i miecze; druty sygnalizacyjne nadawały się świetnie na takie ozdoby jak naszyjniki czy bransolety; podkłady na bezdrzewnej pustyni były najwspanialszym paliwem dla ognisk. Nie z miłości do Etiopczyków tę kolej Francuzi zbudowali, sownie im się to opłaciło. Przez dziesiątki lat byli monopolistami w transporcie towarów. Przewiezienie ładunku na trasie Londyn – Dżibuti było wielokrotnie tańsze, niż z Dżibuti do Addis Abeby. Dziś podstawową rolę spełniają porty Assab i Massaua.

Centrum miasta i port Massaua leżą na wyspie, połączonej mostem ze stałym lądem. Na jej południowym brzegu ocalało jeszcze trochę zieleni.

Strój ludowy z rejonu Keffa



Od północnej strony, tu gdzie morze jest głębsze, nie ma miejsca dla palm. Jest beton nabrzeży portowych, stal dźwigów i szyn, mury magazynów i asfalt dróg. Przy nabrzeżach – statki z otwartymi ładowniami. Każdy zgrzytliwy obrót dźwigów, to tony, setki ton towarów, wędrujących do ładowni w świat i ze świata – z ładowni na ląd. Jest tu zapach całej Etiopii. Przykryte brezentami przyzmy worków z kawą, oszalamiają wonią największej kawiarni świata. I najlepsze – żadna jej nie dorówna w jakości.

Z dwóch głównych odmian kawy *arabica* i *robusta*, lepsza jest ta pierwsza i ona właśnie uprawiana jest w Etiopii. W ogóle praojczyzną kawy jest prawdopodobnie etiopska prowincja Keffa, przynajmniej Etiopczycy święcie w to wierzą. Nie wiem kto pierwszy „odkrył” kawę, ale faktem jest, że w języku arabskim słowo *kahwa* znaczy „wynoszący na wysokość”, co dobrze oddaje działanie zawartego w ziarnach kawy alkaloidu zwanego kofeiną.

Uprawa kawy jest w Etiopii jeszcze niezwykle zacofana, wszystkie prace wykonywane są ręcznie. Wiele plantacji na tę nazwę zupełnie nie zasługuje, gdyż są to po prostu gaje dziko rosnących drzew kawowych, które sięgają siedmiu metrów wysokości. Co dzieje się z kawą zanim trafi ona do filiżanki? Jej owoce podobne do naszych czereśni, zbiera się ręcznie lub otrząsa z drzew. Później albo je się suszy na słońcu, albo moczy w specjalnym roztworze chemicznym, który rozmiękcza miąższ. Ułatwia to wydobycie ziaren. W każdym owocu są po dwa ziarenka. Suszy się je później na słońcu przez dwa do trzech tygodni, co jakiś czas przerzucając z miejsca na miejsce, jak nie przymierzając u nas siano. Następnie trzeba tak przebrać wysuszone ziarna, aby nie znalazły się tam żadne zanieczysz-

czenia jak np. liście, gałązki itp. Po przesortowaniu kawę pakuje się w worki i odstawia do punktu skupu. Reszta zależy od losu... Jeśli na przykład w Brazylii zdarzy się nieurodzaj lub zaraza, to dla plantatorów etiopskich dobrze, bo ceny kawy idą w górę. Jeśli nie tylko w Brazylii, ale na całym świecie jest urodzaj i kawy jest dużo, to źle, bardzo źle, bo ceny lecą na łeb na szyję. Źle jest również wtedy, gdy w samej Etiopii jest marny urodzaj, bo nie ma co sprzedawać. Kiedy wydaje się już, że wszystko składa się na pełny sukces, to nagle wielcy biznesmeni rządzący światowym rynkiem kawy albo pakują ją do magazynów twierdząc, że w obrocie znajduje się jej zbyt dużo, albo wręcz przeciwnie – rzucają na rynek towar uprzednio zmagazynowany. I znów plantator otrzymuje niską cenę. Uprawa kawy ma jak widać dużo wspólnego z totolotkiem, tyle że przy kawie trzeba bardzo dużo i bardzo ciężko pracować w tropikalnym, wilgotnym klimacie. To jest właśnie ta różnica. Wahania na światowym rynku kawy niewiele dotąd obchodziły etiopskiego chłopca, ponieważ plantacje nie były jego własnością, a wynagrodzenie z trudem starczające na nie tyle życie, co wegetację i tak nie ulegało nigdy zmianie.

90 procent swej kawy eksportuje Etiopia do Stanów Zjednoczonych; w roku 1974 było to 22 miliony 60-kilogramowych worków. Prawie 6 procent uprawnych ziem zajmują w Etiopii plantacje i lasy kawowe. Zebrane ziarno zapewnia ponad 50 procent wpływów z eksportu.

Nie daj bóg, kiedy zaczniesz się załadunek skórowy – drugiego bogactwa Etiopii. Wtedy tylko uciekać z portu. Smród jest potworny. Etiopia, gdyby ją mierzyć ilością bydła, byłaby potęgą hodowlaną świata. Tylko że nią nie jest, o czym

już pisałem. Ocenia się, że bydła rogatego żyje w tym kraju prawie 26 milionów, owiec 12 milionów, koni ponad milion, a wielbłądów prawie milion. Są jeszcze kozy, nieprzeliczone kilkunastomilionowe stado, przynoszące pożytek, ale i ogromne szkody. Nie bez racji w Afryce powiada się: „Gdzie przejdzie koza, nic już nie zostanie”. Skóry zwierzęce to tylko 10 procent eksportu Etiopii. Ponadto przez porty w Massaua i Assab idą w świat bawełna i nasiona roślin oleistych (w tym dużo słonecznika), owoce suszone, a od niedawna, w miarę rozwoju przemysłu, coraz większe ilości cukru, przetworów mięsnych i owocowych.

Etiopia jest krajem rolniczym o ogromnych możliwościach. Uważa się, że przy zastosowaniu nowoczesnych metod uprawy roli, a przede wszystkim po dokonaniu całkowitej zmiany struktury rolnictwa, kraj ten mógłby wykarmić cały Bliski Wschód i pół Europy. Ciągłe jednak wyładowuje się pszenicę, kupowaną za granicą.

Specjaliści twierdzą, że Etiopia jest niezwykle obiecującym krajem pod względem bogactw mineralnych. Ich prognozy jakoś się w pełni nie spełniają. Niemcy z RFN i Amerykanie szukają ropy naftowej już od wielu lat bez większego skutku; znaleziono natomiast przy okazji złoża soli potasowej w Depresji Danakilskiej. Odkryto także trochę platyny, manganu i żelaza. Na granicy z Kenią istnieje od dawna kopalnia złota. Wszystkiego jest niewiele i górnictwo w gospodarce kraju odgrywa minimalną rolę.

CESARZ ODSŁANIA SWÓJ POMNIK

Wszystko co działo się tego dnia w Massaua, zapowiadało coś niezwykłego. Na ruchliwych,

rozkrzyczanych zazwyczaj ulicach było cicho i pusto, jeśli nie liczyć setek policjantów w kowbojskich kapeluszach. Wszystkie gmachy oficjalne, banki, urzędy, całe ulice mieniły się zielenią, złotem i czerwienią – barwami Cesarstwa Etiopii. U nabrzeży portowych zatrzymali się niezwykli w tej szerokości geograficznej goście. Przytłaczając swym ogromem stojące w porcie niewielkie statki, piętrzyły się nad dachami magazynów portowych wysokie, zbrojne w sieć anten i ażur radarów maszty i groźne lufami dział nadbudówki okrętów wojennych. Na ich rufach powiewały bandery: Norwegii, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Nie cudzoziemskie okręty były jednak przyczyną niezwykłości tego dnia. Do Massaua miał dziś przybyć „Zwycięski Lew z Plemienia Judy, Hajle Sellasje I, wybrany z woli Boga Cesarz Etiopii”.

O godzinie dziewiątej rano stałem w okolicy pałacu namiestnika, odgradzony od ulicy, którą miał jechać cesarz, gęstym szpalerem policjantów. Po drugiej stronie straż trzymali żołnierze. Kilka metrów za mną zatrzymał się terenowy samochód wojskowy, w którym dwóch oficerów rozmawiało na zmianę przez radiotelefon. Ludności cywilnej bardzo mało, jakaś żeńska szkoła, kilka zakonnic, trochę ubranych po europejsku urzędników i wyraźnie zbłąkana grupka koczowników. Heca zaczęła się od wrzasku oficera w łaziku; policjanci zeszytnieli, uczennice zamilkły, a zakonnice zaczęły się błyskawicznie żegnać raz za razem. Zbliżał się cesarz. Jeden wojskowy samochód, drugi i wreszcie zielona limuzyna z łopoczącą flagą cesarską. Żołnierze stali na baczność prezentując broń, ale policjanci zginali się w ukłonie aż do ziemi. Wyglądało to bardzo dziwnie, jakby płot pomalowanych na kolor khaki sztachet przyginał się

ku ziemi w miejscu gdzie zbliża się zielony samochód, a później z wolna prostował. Żeńska szkoła padła plackiem, a z nią zakonnice i cywile, co zobaczywszy koczownicy przekonani widocznie, że są świadkami cudu ukłękli, wyciągnęli ręce przed siebie na ziemi i głowami zaczęli lekko stukać w chodnik. Z cesarza zobaczyłem tylko wielki hełm tropikalny, kawałek bródki i pelerynę. Przejechał. Gdzieś tam już od pałacu doszły mnie jeszcze jakieś okrzyki. Ta część imprezy była zakończona.

Dwie godziny później na jednym z placów miasta tuż przy porcie, stałem w grupie marynarzy obcokrajowców. Wojsko, policja, korpus dyplomatyczny, oficerowie z goszczących w porcie okrętów wojennych, trochę zwykłych ludzi, pewnie urzędników administracji – wszyscy czekaliśmy na cesarza. Wreszcie przyjechał z całą świtą. Orkiestra piskliwie coś zagrała, cesarz wysiadł z samochodu i w szpalerze gwardzistów wolno skierował się w stronę wznoszącego się wysoko nad placem pomnika. Krótco przemówił – pewnie na temat znaczenia dla Etiopii dostępu do morza – pociągnął za sznurek i płótno, pod którym można się było domyślać czegoś potężnego, spłynęło w dół. Zerwał się krótki zgiełk zachwyty. Na wysokim cokole olbrzymia postać siedzącego na koniu cesarza wskazującego ręką, w której trzyma coś jakby lunetę, na morze. Cesarz patrzy na siebie samego w granicie... Cisza. Nagle okropny wrzask rozlega się na całym placu. Brama jednego z domów otwiera się i wychodzi kondukt pogrzebowy, poprzedzany przez kilkanaście płaczków. Widocznie grzebano kogoś bogatego, bo płaczkowiec opłacone już nie płaczą, nie szlochają, a wprost wyją. Orkiestra próbuje je zagłuszyć, ale z miernym skutkiem. Pędzą policjanci wy-

ciągając w biegu pały. Gdy dopadli do konduktu wrzask zrobił się jeszcze głośniejszy, bo krzyczeli teraz już i ci, którym nie zapłacono.

Cesarz furknął peleryną, wsiadł do samochodu i odjechał. Żałobników wtłoczono z powrotem do bramy i po kilku minutach plac był pusty. Do dziś nie wiem, czy pogrzeb był autentyczny i tylko zawiniła lekkomyślność żałobników, czy też była to z góry zaplanowana swoista manifestacja Erytrejczyków.

Następnego dnia spostrzegłem ze zdziwieniem, że siedzący na koniu cesarz już nie patrzy dumnie na morze, bo ma nasadzoną na głowę torbę po cemencie. Rzeźbiarz – Grek pił później przez kilka dni na umór, żaląc się wszystkim, że nie chcą mu zapłacić za robotę, bo cesarzowi nie spодobało się nakrycie głowy.

Nie wiem czy sam Grek dokonał poprawek, ale gdy po kilku latach oglądałem znów jego dzieło, wydawało mi się, że cesarz ma już coś innego na głowie. Na pewno nie była to torba po cemencie.

KORALOWE WYSPY

W głębi zatoki ciemnieje zielenią i lekkim różem rafa koralowa. Wszystko drga nierealnie w unoszących się z brunatnych skał falach ciepła. W powietrzu czuć ostry zapach rozprężonych raf, wysuszonych traw, kaktusów i morza. Woń wysp koralowych. Archipelag Dahlak, może najmniej zbadane wyspy świata, choć oglądane z pokładów statków płynących do Massaua. Otoczone płyciznami, niebezpieczne dla małych jednostek, niedostępne dla statków. Na kilkudziesięciu wyspach i wysepkach – najwyższa z nich wznosi się ledwie 30 metrów nad

poziom morza – kilka wiosek i kilkaset mieszkańców żyjących z rybołówstwa i połowu pereł. Dzięki przypadkowi, poznaniu właściwego człowieka we właściwym czasie, trafiłem do tego najmniej znanego zakątka Etiopii, jeśli można tak powiedzieć o wyspach widniejących na wszystkich mapach.

Archipelag rozciągający się na przestrzeni około 60 mil morskich długości i tyleż szerokości, został zbudowany w ciągu tysięcy lat z milionów wapiennych szkielecików koralu. Nie żadne olbrzymy dokonały tej pracy, ale maleńkie stworzenia należące do tej samej rodziny jamochłonów co oglądane latem w Bałtyku meduzy. Ludzie nadali wyspom nazwy swojsko brzmiące dla nich, a jakże egzotycznie dla nas: Balaa, Darraka, Hatitau, Entedebir, Cundabilu, Nocra...

Do zatoki Ghubbet Mus Nefit nazywanej przez Erytrejczyków-Soghra prowadzi wąskie przejście między przylądkami Ras Ar-Ar i Ras Bulul. Cumujemy łódź do dużego, sterczącego pionowo na brzegu złomu rafy. Według mapy, gdzieś tu zaraz powinna znajdować się wioska. Nazwy nie ma.

Kilka zbudowanych ze złomów raf chałup – nie chałup, chyba najlepiej pasuje do nich nazwa – szałas. Wysokie, ponad dwumetrowe ściany z małymi wąskimi dziurami jako okna, nieduży otwór przy ziemi, zasłonięty jakimś postrzępionym skrawkiem materiału, spełnia rolę drzwi. Każdy z tych „domów” jest otoczony wysokim solidnym murem, ułożonym z odłupanych kawałków rafy. Nad wioską kołujące wysoko sępy-ścierwniki. Trzymają się one zawsze blisko siedzib ludzkich i żywiąc się odpadkami spełniają rolę czyścicieli.

Wchodzimy między zabudowania. Błądzimy

między wysokimi murami – ani żywego ducha, wioska sprawia wrażenie wymarłej. Tylko jakiś wyleniały pies, leżący w załomie muru leniwie podnosi łeb. Utwierdza on nas w przekonaniu, że wioska jest jednak zamieszkała. Dowodem na to jest również „śmietnik” wioskowy, gdzie piętrzą się świeżo rozłupane muszle perłopławów i szkielety ryb. Wiemy już czym się zajmują mieszkańcy. Postanawiamy zajrzeć do którejś z chat. Odwracamy się i wszystko staje się jasne. Zza murów, narożników, z okien, drzwi – śledzą nas dziesiątki oczu. Moment... i znów pustka. Tak więc są ludzie, ale czy to nieśmiali, czy niechętni, nie zamierzają z nami nawiązać kontaktu. Trudno. Jakies 2 km dalej na wschodnim brzegu wyspy, dwa rozpadające się budynki. Na jednym z nich łopocze na wietrze wyblakła w słońcu flaga Cesarstwa Etiopii. Z rozwalonej rudery wychodzi naprzeciw nam dwóch uzbrojonych mężczyzn. Jeden z nich w mundurowej bluzie z czymś złotym na rękawie. W łamanym włoskim zapytuje nas: kto my? w jakim celu przyjechaliśmy? Z jego zachowania wynika, że nasza obecność nie jest tu pożądana. W oknach – szparach budynku znowu widać twarze ludzkie. Może ten kapitan – Włoch z Assab jednak nie fantazjował? Może rzeczywiście są tu więźniowie? Jeśli w Adoli na złotodajnych polach kilka tysięcy więźniów politycznych kopie dla cesarza złoto, dlaczego ci tutaj nie mieliby wylawiać dla niego pereł? Tylko pewnie tam są ci ważniejsi, bo kopalnia – więzienie ma bezpośrednie połączenie telefoniczne z pałacem cesarskim w Addis Abebie, co w przypadku wyspy Nocra jest chyba wykluczone.



Sąsiednia wyspa – Entedebir. Brzegi urwiste i wysokie. Podmywane przez działające od tysięcy lat fale, tworzą wspaniałe nawisy kilkunastometrowej szerokości zwisające nad wodą jak tarasy. Wiele z nich runęło do morza i pozostały tylko ostre pionowe krawędzie. Wyspę można podzielić na trzy zupełnie różne pod względem ukształtowania i roślinności obszary. Najbardziej efektowna jest część północna. Ciągające się od brzegów wysokie nagie rafy, poprzecinane są parowami, pełne szczelin i urwisk. Gdzieniedzie pojedyncze złomy sterczą w niebo jak obeliski. Pełno tu tajemniczych jas-

kiń, pionowych ścian i rozpadlin. Nocą przypomina to wszystko krajobraz księżycowy. W dzień – rozpalone piekło.

Druga część – centralna wyspy to płaskowyż o roślinności sawanny. Pojedyncze drzewa akacji, kępy ubogich wysuszonych traw, soczysta zielen zawsze świeżych, rosnących do 4 metrów wysokości kaktusów. W kilku miejscach płaskowyż poprzecinany jest głębokimi na 2–3 metry wąskimi rozpadlinami. Wygląda to tak, jakby jakieś mocarne ręce porozrywały te skały.

Wreszcie trzeci obszar. Są to przedłużenia wrzynających się w morze zatok. Tereny depresyjne zalewane każdym przypiływem morza. Pokrywa je drobny piasek, a właściwie sinożółty mułek, porośnięty kępami słonorośli.

Fauna lądowa to w zasadzie ptaki. Trochę orłów-rybołówów, ostrygojady, jakiś samotny olbrzymi drop, drapieżniki podobne do naszych kani. Najpiękniejsze ptaki Morza Czerwonego faetony, olbrzymie pelikany i biało-różowe flamingi. Ssaków, poza stadem zdziczałych kóz, które kiedyś pewnie przywieźli tu ludzie, nie ma.



Na rafach wylaniających się z wody przy każdym odpływie, grają całą gamą kolorów wspaniale koralowce. Lekko błękitne, wpadające w fiolet, czerwone, różowe, zielonkawe i żółte. Wszystko to w delikatnej pastelowej tonacji. Rafy tętnią życiem. Wspaniale koralowe rybki o tak fantastycznych kształtach i tak bogato ubarwione, że nie sposób oddać tego piórem. Małże *Tridacna* zakute w potężne muszle; ich barwna wypustka wysuwająca się z muszli wabi ofiary soczystymi kolorami. Ostre kolce jeźwców przy nieumiejętnej próbie oderwania ich od podłoża, wbijają się boleśnie w ciało. Podłużne stwory, przypominające kształtem zwyczajne ogórki, tyle że o barwie ciemnoszarej przechodzącej miejscami w czern, to strzykwy, zwane także ogórkami morskimi. Na Dalekim Wschodzie znane są pod nazwą trepangów. Podobno zupa z trepangów to przysmak, a wysuszone i starte na proszek są używane jako lek. Między gałkami koralu wiją się jak splecione ogonami węże, stwory o nazwie węzowidła. Wabi oko ostrą czerwienią rozgwiazda, przypominająca wielkością i kształtem pięcioboczną, ozdobną poduszkę. Dziesiątki rodzajów małży, pokrytych szczelnie wapiennymi skorupami w najprzeróżniejszych kolorach, leżą w pozornym bezruchu. Obok tysiące i miliony stworzeń niewidocznych dla oka człowieka. Wszystko to żyje i walczy o życie. Wabi kolorem, straszy kształtem. Pożera i jest pożerane.

Głębie wód starannie ukrywają swoje tajemnice. W jasnozielonkawej toni wszystko staje się nierealne, uśpione. Wszystkie barwy są stonowane, ruch pozornie spokojny, leniwy. Jedyne czatujący rekin spada jak błyskawica na upatrzoną ofiarę. Wszystko co żywe pierzcha wtedy w popłochu, aby jak najdalej od grożą-

cego niebezpieczeństwa. Po chwili znowu wraca spokój. Tu panują prawa przyrody z całą surowością – im jesteś mniejszy, słabszy, powolniejszy, tym więcej czyha na ciebie niebezpieczeństw. Jak to w życiu, nie tylko podwodnym.

*
* *
* *

Choć tu na wyspach jest się jeszcze w Etiopii, to jednak wydaje się ona odległa, hen za morzem. Ułatwia to spojrzenie z dystansu na ten kraj.

Kraj wolny, choć większość jego ludów nigdy wolna nie była. Bogaty, choć ludy jego cierpiały zawsze głód i nędzę. Piękny, choć życie w jego górach i pustyniach jest ciężkie, a przyroda okrutna.

Etiopia – z kim, z czym kojarzy się ta nazwa nam, ludziom żyjącym z dala od tego kraju. Symbolem Etiopii byli dla nas dwaj ludzie: drobny, niewysoki starzec z bródką, zawsze w wojskowym mundurze, najdłużej panujący władca na świecie Hajle Sellasje I i drugi – skromny gwardzista Jego Cesarskiej Mości, Bikila Abebe, który jako jedyny w historii nowożytnych igrzysk olimpijskich dwukrotnie w Rzymie i Tokio zwyciężył w najtrudniejszej konkurencji – morderczym biegu maratońskim. Cesarz miał wiele pomników w swym państwie, najsłynniejszy maratończyk tylko jeden – w stolicy i nigdy go nie widział, bo odsłonięto go już po jego śmierci. Obydwaj byli wielkimi mistrzami długich dystansów: cesarz we władaniu, w bieganiu jego gwardzista. „Im dłuższy dystans – pisał pewien dziennikarz sportowy – tym Etiopczycy mają więcej do powiedzenia”. Myślę, że słowa te mogłyby równie dobrze pochodzić tak od historyka jak i polityka.

Etiopski maratończyk doczekał się następców; w olimpijskim maratonie zwyciężył jego

młodszy kolega Mamo Uelde, słynni byli długodystansowcy Belete, Linguissa, Jetneberk, Beda. W roku 1975 za najlepszego długodystansowca kontynentu afrykańskiego został uznany Etiopczyk Mirus Yiftera, brązowy medalista Olimpiady w Monachium w biegu na 10 000 m.

Cesarz po przebyciu ogromnego dystansu, aż dwukrotnie przebywał linię mety. Po raz pierwszy, gdy rewolucja pozbawiła go tronu i po raz drugi, gdy w wieku 83 lat w dniu 27 sierpnia 1975 roku zmarł w wyniku pooperacyjnych powikłań. Został pochowany w stolicy kraju, ale nikt nie zna miejsca jego ostatniego spoczynku.

GDY SPADŁA ZASŁONA

Dwieście dwudziesty piąty władca Etiopii, jak wylicza pełna legend i mitów historia tego kraju, został zdetronizowany i wkrótce potem

Znaczek wydany z okazji Konferencji Ekonomicznej Krajów Afrykańskich w Addis Abebie



Znaczek poczty lotniczej z 1931 r.

umarł. Jakie były przyczyny jego obalenia i kto tego dokonał? Nie była to pierwsza próba pozbawienia władzy cesarza Hajle Sellasje, w czasie kilkudziesięcioletniego panowania był on celem piętnastu zamachów, z których... tylko on sam uchodził z życiem. Dla swoich wrogów i poddanych potrafił być okrutny. Udzielając wywiadu przed kilku laty włoskiemu dziennikarzowi powiedział: „Nigdy nie obawialiśmy się, że jesteśmy zbyt surowi. Król wie, czego lud potrzebuje, lud tego nie wie. Nigdy nie cierpimy,

kiedy wymierzamy karę, ponieważ wiemy, iż jest ona słuszna”.

Hajle Sellasje cieszył się na całym świecie ogromną popularnością, złożyło się na to kilka przyczyn: nieprzejednane stanowisko w czasie agresji włoskiej w Etiopii (jego dramatyczne apele wstrząsnęły wtedy całym światem); postępową politykę zagraniczną wyrażającą się m. in. w zdecydowanym występowaniu za dekolonizacją i jednością państw kontynentu afrykańskiego (siedzibą sekretariatu Organizacji Jedności Afrykańskiej jest właśnie Addis Abeba), oraz nimb egzotycznej tajemniczości i legendarnej historii Etiopii, której był władcą. Znajdował tu również odbicie szeroko propagowany w Etiopii „kult cesarza”, którego głównym nośnikiem, obok nowoczesnych środków przekazu jak prasa, radio, telewizja, był ogromnie rozbudowany i prymitywny kler etiopski.

Ale pewnego dnia zasłona spadła i ukazała się zza niej prawda.

Zaczął się wszystko w grudniu 1973 roku dość niewinnie. Żołnierze jednostki strzegącej granicy z Somalią zmusili swego generała, aby przez 24 godziny jadł z żołnierskiego kotła. Jedzenie się poprawiło. Później żołnierze drugiej dywizji stacjonującej w Asmarze zajęli radiostację cywilną i odczytali memorandum do cesarza, zawierające 23 punkty żądań poprawy żołnierskiego losu. Przyłączyli się do nich marynarze z okrętów Cesarskiej Marynarki Wojennej stacjonujących w Massaua. W kilka dni później z podobnymi żądaniem wystąpili lotnicy z bazy Debre Zeit.

Jak się okazało były to tylko „wstępne manewry armii”. Po kilku tygodniach wrzenia we wszystkich garnizonach, wojsko wystąpiło już z dużo poważniejszymi postulatami. Armia za-

żądała ustąpienia skorumpowanego rządu, podjęcia walki z głodem i nędzą oraz konkretnych reform mających wydobyć to ostatnie feudalne państwo świata z zacofania. Od słów wojsko przeszło do czynów, dokonując licznych aresztowań i wymuszając kolejne zmiany rządów. Robotnicy, uczniowie, studenci, ludność miast poparli żądania wojska. W marcu 1974 roku Etiopia przyżywa pierwszy w historii tego kraju strajk generalny. Do akcji po stronie reformatorów włączyła się prasa, radio i telewizja.

Bunt wojska musiał być ogromnym zaskoczeniem dla cesarza, uczynił bowiem wszystko, aby właśnie przed takim niebezpieczeństwem się ustrzec. Armia etiopska nie była scentralizowana, nie miała jednolitego dowództwa. Była to świadoma polityka cesarza Hajle Sellasje, który starał się nie obdarzać żadnej części armii swym szczególnym zaufaniem. Była więc *Tor Serauit* (piechota), *Kubyr Zebenia* (gwardia cesarska), lotnictwo oraz Marynarka Wojenna. Były poza tym armie lokalne w prowincjach, całkowicie izolowane jedne od drugich.

Oczywiście nie zła jakość jedzenia i niski żołądek były głównymi przyczynami wystąpienia armii. Powody były dużo poważniejsze. Średnia życia Etiopczyka w latach siedemdziesiątych wynosi 38 lat, co drugie dziecko umiera nie dożywając lat pięciu. Na około 26 milionów ludności jest zaledwie niewielu ponad 300 lekarzy, z tego prawie połowa w stolicy. W całym kraju pracuje kilkunastu lekarzy dentyków. Ponad 90 procent ludności to analfabeci. Wydatki na oświatę – najniższe w całej Afryce. Za to wydatki na armię pochłaniały 50 procent budżetu państwa.

Nikt nie wie ilu naprawdę umarło ludzi z głodu i pragnienia w wyniku długotrwałej suszy,

która dotknęła część Afryki, w tym Etiopię, na początku lat siedemdziesiątych. Sto tysięcy, ćwierć miliona, pół miliona? Gdy ludzie umierali, cesarz nie uczynił nic by im pomóc, jak również nie zwrócił się z apelem do innych państw i międzynarodowych organizacji. Gdy pozostałe państwa afrykańskie dotknięte suszą alarmowały świat, Etiopia umierała w milczeniu.

Mam do tej ostatniej sprawy stosunek zupełnie osobisty. Ginący z głodu i pragnienia mieszkańcy prowincji Uello, Tigre i Erytrei, nie są dla mnie tylko masą nieszczęśliwych. Byłem wśród nich, pamiętam wielu, którzy już dziś pewnie nie żyją. Wiem co czuła kobieta, dla której byłem „białym diabłem”, gdy dziecko jej chudło z dnia na dzień aż zmarło cicho z wielkiego osłabienia. Rozumiem, co czuł jej mąż, gdy zjadali ostatnie ziarna przeznaczone na siew, a całe bydło wyginęło już z pragnienia i głodu.

Dla mnie Danakilowie, umierający z przelaniem spalonym pragnieniem, nie są jakimś nieznanym plemieniem koczowników. Ci z nich, którzy zdołali dojść do rzeki Auasz pili wodę ostrożnie, ale ich wielbłądy nie dały się od niej odpędzić – opily się i padły wszystkie. A nie ma większej klęski dla koczownika jak utrata jedynego środka transportu i żywiciela jakim jest wielbłąd. Bez jego wysuszonego nawozu nie mogą nawet rozpalić ogniska, bo skąd na pustyni wziąć drewno? Na tej pustyni, gdzie bieleją teraz kości tych, którym już nie starczyło sił na dotarcie do Auasz.

W wyniku suszy, straszliwej obojętności swego władcy i skorumpowanych urzędników (z zebranych 10 mln dolarów etiopskich na pomoc dla głodujących, dotarło do nich tylko 10 pro-

cent tej sumy), Etiopia nie dość, że straciła ogromną ilość obywateli, ale i stanęła wobec problemów, których rozwiązanie oblicza się na długie lata. Tym większe oburzenie budzi list jaki pokazano już po detronizacji cesarza w telewizji Addis Abeby. List ten został skierowany do cesarza przez dyrektora jednego z największych banków szwajcarskich. Oto jego treść: „Uprzejmie prosimy o wstrzymanie dalszych transportów złota do depozytu, gdyż chwilowo zabrakło nam powierzchni magazynowej”.

Powołana przez Wojskowy Komitet Administracyjny specjalna komisja do ustalenia wysokości majątku osobistego cesarza, oceniła jego wartość na około 16 miliardów dolarów! Cesarz posiadał ponad 3 mld dolarów w różnych zachodnioeuropejskich bankach; był posiadaczem 51 procent akcji jednej z największych szwajcarskich fabryk zegarków i pakietu akcji zakładów „Mercedes-Benz”; był współwłaścicielem amerykańskich towarzystw wydobywających w Chile miedź i właścicielem ogromnego hotelu „Pre-

Gmach parlamentu w Addis Abebie





Dworzec w Addis Abebie

sident” w Genewie, oraz setek kamienic w Paryżu i Londynie. Należały do niego ogromne plantacje kawy w Brazylii, a w Etiopii szpitale, hotele, jedyne w kraju przedsiębiorstwo autobusowe, wiele zakładów przemysłowych i wszystkie browary. Złoto wydobywane przez więźniów politycznych w Adola także uznał za swoją własność; ocenia się, że wartość wydobytego kruszcu wynosi od 2,5 do 4,5 mld dolarów. Ujawniono także, że fundusze wpłacane Etiopii przez rządy państw i ze zbiorów społecznych



Urząd pocztowy w Addis Abebie

na rzecz kontynuowania walki z włoskim najazdem w latach 1935–1941, cesarz inkasował podobno do własnej kieszeni. Suma zebranych w ten sposób pieniędzy nie jest znana.

Trudno stwierdzić w jakim stopniu wyliczenia komisji są obiektywne, a w jakim kierowała nią chęć pogrzebania cesarza w oczach obywateli raz na zawsze. Nie ulega jednak wątpliwości, że Hajle Sellasje był jednym z najbogatszych ludzi świata, co nie przeszkadzało mu patrzeć obojętnie na śmierć swych poddanych.

We wrześniu 1974 roku Wojskowy Komitet Administracyjny ogłosił historyczną deklarację o detronizacji cesarza z powodu „podeszłego wieku” i o umieszczeniu go w „specjalnym, odpowiadającym mu miejscu”. W grudniu tego samego roku Komitet w odezwie radiowej do narodu oznajmił, iż Etiopia wybiera socjalistyczną drogę rozwoju.

W dniu 4 marca 1975 roku dwa słowa obaliły liczący setki lat feudalizm etiopski. Słowa te brzmiały: reforma rolna. Naruszona już detronizacją cesarza, odwieczna piramida społeczna Etiopii runęła. Ziemia stała się własnością narodu. Rewolucyjną decyzję władz wojskowych o reformie rolnej ogłoszono przez radio nie tylko w urzędowym języku amharskim, lecz również w siedmiu innych głównych językach kraju. Żeby każdy zrozumiał: w Etiopii rozpoczęła się nowa era! Ustawa o reformie rolnej nie przewidywała żadnego odszkodowania dla dawnych właścicieli. Każdemu, kto pragnął sam zajmować się uprawą ziemi został przydzielony pewien obszar gruntu, nie przekraczający jednak 10 ha. Tradycyjne stosunki między właścicielami a chłopami zostały anulowane. Tym samym chłopci zostali zwolnieni od spłaty długów lub innych zobowiązań wobec dawnych właścicieli.

Reforma rolna to nie tylko odebranie ziemi setkom ludzi, a danie jej milionom, to również zwolnienie całego narodu z pęt zależności i podporządkowania arystokracji. To, dziś jeszcze może trudne do uchwycenia, ale za lat kilka na pewno ogromne zmiany w mentalności chłopca etiopskiego. Człowieka, który z poddanego stał się wolnym.

Nie ma już cesarza i nie ma cesarstwa, a przed nową Etiopią droga bardzo długa i trudna. Musi się ona wydobyć z ogromnego zacofania.

Jej ludy muszą nauczyć się nie tylko czytać i pisać, ale również samodzielnie myśleć. Musi ona pokonać wewnętrznych wrogów, uporać się z ciężącym nad tym krajem przez cały czas jego istnienia rozbięciem dzielnicowym. Osiągnąć prawdziwe zjednoczenie. Ogromny dystans do pokonania...



Zamek Gonder z XVII w.

MAŁA ENCYKLOPEDIA

LICZBA LUDNOŚCI I OBSZAR

Dokładna liczba ludności Etiopii nie jest znana. Pierwszy wrywkowy spis ludności przeprowadzono dopiero w roku 1968; opierając się na jego wynikach ustalono szacunkowo liczbę ludności na 23,6 mln. Polski Rocznik Statystyczny na rok 1974 podaje 25,9 mln (1972 r.), co odpowiada danym z oficjalnych źródeł etiopskich.

Poważne rozbieżności występują również w ocenie powierzchni kraju (dotyczy to także polskich publikacji), wahają się one od 1 184 000 km² do 1 236 700 km² (Polski Rocznik Statystyczny – rok 1974 – 1 221 900 km²). Gęstość zaludnienia: około 21 mieszkańców na 1 km².

PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY

Stolica kraju: Addis Abeba, około 918 tys. mieszkańców (1972 r.). Etiopia dzieli się na czternaście prowincji:

| Nazwa prowincji | Główne miasto |
|-----------------|---------------|
| Arusi | Assela |
| Balie | Goba |
| Begiemdyr | Gonder |
| Erytrea | Asmara |
| Gemu-Gofa | Arba Myncz |
| Godżam | Debre Markos |
| Harer | Harer |
| Ilubabor | Gorie |
| Keffa | Dżimma |
| Sidamo | Jyrga – Alem |
| Szeua | Addis Abeba |
| Tigre | Mekelie |
| Uellega | Lekemt |
| Uello | Desje |

UKSZTAŁTOWANIE POWIERZCHNI

Etiopia jest jedynym dużym krajem górskim (małe państwa Rwanda i Burundi) na kontynencie afrykańskim. Dwie trzecie jej powierzchni zajmuje Wyżyna Abisyńska (2 do 3 tys. m n.p.m.), rozdzielona rowem tektonicznym Riftu (zwanym też Rowem Abisyńskim) na Masyw Centralny i Wschodni. Wyżyna poprzecinana jest licznymi rozpadlina-

mi, wąwozami, parowami i korytami rzek, co w porze deszczowej niesłychanie utrudnia komunikację, a często wręcz ją uniemożliwia. Rów Riftu na północy dochodzi niemal do Morza Czerwonego tworząc Kotlinę Danakilską; na południowym zachodzie styka się z brzegami jeziora Rudolfa. Masyw Centralny (najwyższy szczyt Ras Daszan – 4543 m n.p.m.) wyraźnie zniża się w kierunku północno-zachodnim, co powoduje spływ większych rzek (Mereb, Tekezzje) w kierunku Nilu. Tutaj też z jeziora Tana bierze swój początek Nil Błękitny, zwany w Etiopii – Abbaj.

Rowem Abisyńskim płynie rzeka Auasz, która



Źródła rzeki Nil

ginie w pustyni Danakil. Masyw Wschodni jest bardzo ubogi w wodę, jego główne rzeki to Uebbi Szebeli i Dżuba. Masyw ten pochylony jest ku Oceanowi Indyjskiemu, w nim też ma zlewisko swych rzek.

W Masywie Centralnym na wysokości 2480 m znajduje się stolica Etiopii Addis Abeba (w języku amhara – Nowy Kwiat), a jego część północna jest miejscem, gdzie narodziło się dzisiejsze państwo.

Ze względu na ukształtowanie powierzchni, klimat Etiopii jest bardzo zróżnicowany. Wybrzeża Morza Czerwonego, pustynia Danakil, dolina Auasz oraz wdzierające się w Masyw Centralny głębokie doliny, znajdują się w strefie gorącej i suchej.

Na obszarach wyżynnych występują trzy piętra klimatyczne: najniższe do wysokości około 1700 m ma klimat gorący i wilgotny, środkowe do wysokości 2600 m – umiarkowanie ciepły, a najwyższe ponad 2600 m – umiarkowanie chłodny. Najdogodniejszym miejscem dla działalności gospodarczej jest środkowe piętro klimatyczne, niegdyś porośnięte przez wysokopiennne, wiecznie zielone lasy liściaste, obecnie bardzo przetrzebione i zajęte pod uprawy.

W Etiopii nie występują tradycyjne pory roku, różnice temperatury są większe między dniem i nocą, niż pomiędzy miesiącami. Wyróżnia się trzy pory roku: suchą (czas zbiorów i żniw) od września do marca; małych deszczów – kwiecień – maj i dużych deszczów – od czerwca do połowy września.

Jeziro Tana, przez które przepływa rzeka Nil



Etiopia należy do najstarszych państw świata, brak na to co prawda konkretnych dowodów, ale można domniemywać, że początki jej sięgają trzy tysiąclecia wstecz. Podwaliny dzisiejszej Etiopii zostały założone przez bitne, a przede wszystkim wysoko rozwinięte pod względem cywilizacyjnym, plemiona semickie, które przybyły na zachodnie wybrzeża Morza Czerwonego z Półwyspu Arabskiego. Miejsce skąd wywędrowali, znajduje się na terenach dzisiejszych państw jemeńskich. Przybysze zakładając liczne kolonie i osady kupieckie, stopniowo mieszały się z miejscową ludnością kuszycą, pozostając jednak jeszcze przez wiele stuleci w ścisłych związkach ze swą macierzą – Południową Arabią. Dopiero w pierwszym wieku naszej ery następuje usamodzielnienie się dawnych osadników. Około tysiąca lat trzeba było przybyszom na zorganizowanie własnej państwowości – Królestwa Aksum, którego terytorium rozciągało się na północy dzisiejszej Etiopii.

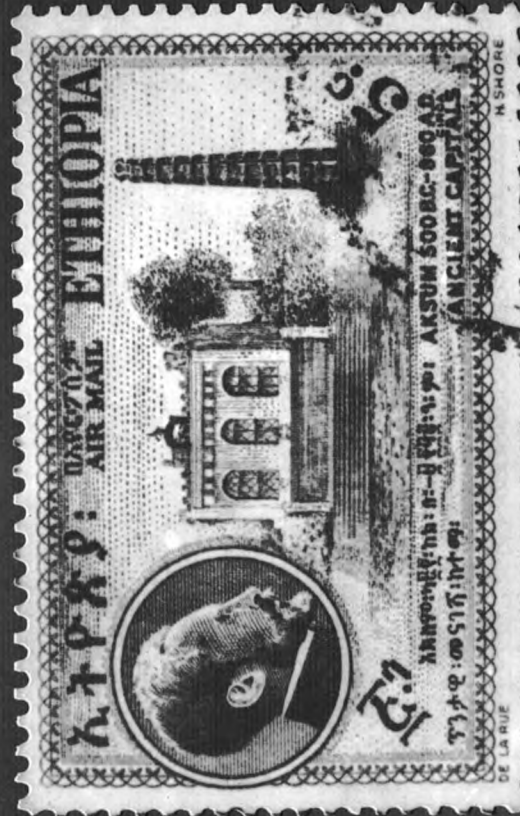
W IV wieku Królestwo Aksum, utrzymujące bliskie stosunki handlowe z Rzymem i Bizancjum, przyjmuje chrześcijaństwo. Panujący w owym czasie król Ezana, uczynił z niego religię państwową. Pod silnym naporem rosnącego w potęgę islamu, który odciął Aksum od europejskich kontrahentów handlowych, rozpoczyna się jego upadek. W IX wieku Aksum rozpada się na księstwa feudalne: Amhara, Tigre i Szeua, a władza aksumickiego króla królów (nyguse negest) staje się już tylko tytułarna. Etiopia dla Europy przestała istnieć – zapomniano o niej zupełnie. Dopiero w XV wieku (1488 r.) trafił na „dach Afryki” portugalski rycerz Pedro do Covilhao, uczestnik wyprawy szukającej drogi lądowej do Indii. Opisał później w swych wspomnieniach wrażenia z pobytu w Etiopii.

W roku 1541 gdy Etiopii zagroziło ostateczne podbicie przez islam, pomocy udzielili jej, na prośbę cesarza, właśnie Portugalczycy, których flotylla

zawinęła do Massaua. Interwencja okazała się skuteczną, ale jej efekty, dla wcale nie bezinteresownych Portugalczyków, nie były zbyt korzystne. Potknęli się na próbie wprowadzenia religii rzymskokatolickiej i podporządkowania Kościoła Etiopskiego Rzymowi. W 1632 roku zostali z Etiopii usunięci. I znów było wszystko tak, jak dawniej – pełna izolacja od reszty świata, co oczywiście wcale nie oznacza, że kraj ten pogrążył się w sennym spokoju.

W 1855 roku królem królów zostaje Teodor II (przydomek Abba Tatek), który z nic nie znaczącego stanowiska jakie objął, w krótkim czasie czyni bardzo mocną pozycję w państwie. Kolejno podporządkowuje sobie poszczególnych władców i jednoczy cesarstwo. Za jego panowania przypada pierwsza agresja na Etiopię ze strony Europejczyków – są nimi Anglicy. Cesarz, mając przeciwko sobie wielu możnowładców niechętnych jego polityce mającej na celu stworzenie silnej władzy centralnej, a także dostojników Kościoła Etiopskiego obawiających się ograniczenia swej władzy, zostaje pokonany przez Anglików i popełnia samobójstwo w twierdzy Makdela (1868 r.). Tron po

Fragment prehistorycznego fresku z rejonu Harer



Budowla w Aksum, dawnej stolicy Etiopii

nim obejmuje Jan IV, którego następcą zostaje cesarz Menelik II (1844–1913, cesarz od 1899 r.). Menelik II przeszedł do historii jako ten, który stoczył chyba jedną z najważniejszych bitew dla losów państwa. W roku 1896 pod Aduą pokonał on Włochów, pragnących podbić Etiopię. W epoce zwycięskiego kolonializmu był to ogromny sukces, który odbił się szerokim echem na całym świecie, znacznie umacniając rolę Etiopii w Afryce.

Druga inwazja włoska (1935–1936) doprowadziła do podboju Etiopii, wyzwolonej w 1941 roku



przez wojska brytyjskie przy wydatnej pomocy partyzantów etiopskich, którzy ani na chwilę nie zaprzestali walki przeciwko okupantom. W 1952 roku na podstawie decyzji ONZ dawna kolonia włoska Erytrea, została włączona do Etiopii początkowo na zasadach federacyjnych z własnym samorządem, a od 1962 roku jako prowincja podlegała całkowicie władzy centralnej.

Ostatnim cesarzem Etiopii był Hajle Sellasje I, panujący od 14 kwietnia 1930 roku do obalenia go przez rewolucyjny przewrót wojskowy w dniu 12 września 1974 roku.

20 grudnia 1974 roku ogłoszona została „Deklaracja Tymczasowego Rządu Wojskowego”, w której po raz pierwszy użyto określenia „etiopski socjalizm”. Potwierdzeniem socjalistycznego kursu nowego rządu było wydanie w dniu 4 marca 1975 roku dekretu o reformie rolnej. 21 tegoż miesiąca zniesiono ostatecznie w Etiopii monarchię.